Wydawnictwa rok VI
Dnia 2 września 1928 r.

Nr. 261

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głosu Prawdy"

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego

TYGODNIK

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

O nowe metody urzędowania w Polsce

NIEDYSKRECJE:

Opinja błaznów 562
Z zadowoleniem ale bez wielkiego entuzjazmu . . . . "
Rozmowy Stresemanna w Paryżu . . . "
Po dziesięciu latach . . . . "
Narodziny najnowszej w Europie monarchji . . . . "
Parlament parlamentów 563

O NOWE METODY URZĘDOWANIA . . "

ZNAK ZAPYTANIA *T. Grużewski* 564

„GŁOS PRAWDY LITERACKI"

Joachim Lelewel jako miłośnik książki *K. Zieleniewski* 565
„Poeta" *Wł. Orkan* 567
Biuro *Stanisław Kazimierz Stanek* . . . . "
Kobiety i moda w przyszłości *Jan Palmira* . 568
Kantorbery Tymowski jako tłumacz Schillera *Dr. Paweł Krzowski* 570
Nowości francuskie *I. Czapski* 572
Bibljotekarstwo szwedzkie z lotu ptaka *S.* . 573
Na marginesie *jkb.* 574
Z niwy poloników *F. Gleyden* 575
Odpowiedzi Glosu Prawdy Literackiego . . 576

Redakcja: Warszawa, ul. Szpitalna 1, tel. 282-54.   Administracja: Warszawa, ul. Nowy-Swiat 22 tel. 283-62

NIEDYSKRECJE

OPINJA BŁAZNÓW. Centralny organ endecji, który nazwał „barbarzyństwem" dążenie robotników do podniesienia wydajności ich pracy ,uznał iż należy do zakresu „moralności bandytów" stwierdzenie faktu, iż „praworządność istotna jest funkcją dobrobytu Narodu, bez czego niema stabilizacji życia, owej podstawy ładu i porządku". Trudno określić te szanowne opinje inaczej, niż mianem błazeńskich. Tępota endecji, rzadko ujawniała się z taką wyrazistością, jak w tym wypadku. Pragnąć więcej pracować i wytwarzać — to znaczy być barbarzyńcą. Zatem niech żyje lenistwo, gnuśność i nędza! Opierać praworządność i ład społeczny na zadowoleniu obywateli z istniejącego stanu rzeczy — to bandytyzm. Wiwat nahajka, kryminał i kajdany! Niech żyje prawo mordowania Prezydentów, obijania kijami Limanowskich — symbole „praworządności"! Niech żyją uliczne rzezie krakowskie — dokumenty salonowej moralności społecznej i państwowej! Niech żyje Korfanty, Dymowski i im podobne filary tej moralności! Bo ta błazeńska „prawomyślność" endecka polega przecież nie na czem innem, jak na swobodzie tworzenia po zaułkach karczem gabinetów ministrów, na podstawie parcelacji dochodów państwa między jego uczestników — partyj. Żeby się miała opierać o zadowolenie obywateli, o takiej herezji ortodoksi i masoni endeccy nawet słuchać nie mogą.

***

Z ZADOWOLENIEM ALE BEZ WIELKIEGO ENTUZJAZMU powitała opinja publiczna świata podpisanie paktu Kelloga. Narodziny jego odbyły się raczej w atmosferze urzędowo-formalnej, niż serdecznej. Sam twórca jego, sekretarz stanu Kellog, był niezmiernie powściągliwy w swych mowach i wynurzeniach. Jedynie Briand zdobył się na tony cieplejsze, żywiej przemawiające do uczuć i wyobraźni. Leży to już w charakterze krasomówstwa tego „wiolonczelisty pokoju", jak go nazywają. Jest rzeczą charakterystyczną, iż przyjazd Stresemanna do Paryża dał prasie francuskiej większy asumpt do rozważań na temat końca wojny, niż sam pakt Kelloga. Co dalej — nasuwa się pytanie. Kiedy doczekamy się pierwszych konkretnych skutków tej tak szumnie rozreklamowanej amerykańskiej imprezy pokojowej, choćby w postaci rozbrojenia moralnego. Jeżeli zgodzimy się z tem, iż pakt Kelloga jest krokiem naprzód, ile takich kroków wypadnie jeszcze uczynić na ciernistej drodze do pokoju światowego? Sygnatarjusze paktu, a w tej liczbie i min. Zaleski przestrzegają przed zbytnim optymizmem. I słusznie. Nic bardziej zwodniczego od mierzenia sił na zamiary w polityce. Jeżeli w jakiejś dziedzinie stosunków ludzkich to przedewszystkiem w polityce najłatwiej stwierdzić słuszność przysłowia, iż dobremi zamiarami wybrukowana jest droga do piekła. Nie wynika z tego bynajmniej iż pragniemy całkowicie odmówić doniosłości inicjatywie amerykańskiego męża stanu, epigona Wilsona, aczkolwiek z przeciwnego obozu. Jako manifestacja pokojowa o charakterze uniwersalnym, pakt Kelloga, pobił wszystkie dotychczasowe rekordy na tem polu. Jest on najwyższym skokiem o tyczce pacyfizmu mocarstwowego, należy tylko życzyć, by tyczka ta okazała się dość mocną do utrzymania ciężaru skaczących.

***

ROZMOWY STRESEMANNA W PARYŻU otoczone są jeszcze grubym woalem tajemnicy, zwłaszcza te, jakie niemiecki minister spraw zagranicznych miał prowadzić z premjerem Poincarém. Nie wiemy o nich dotychczas nic pozytywnego, niepodobna bowiem polegać na dowolnych domysłach sensacyjnych reporterów. Jedno jest pewne. P. Stresemann, który sondował w Paryżu grunt w sprawie ewakuacji Nadrenji, usiłując osiągnąć jej przyśpieszenie, żadnych obowiązujących przyrzeczeń od rządu francuskiego nie otrzymał. Prasa niemiecka nie ukrywa swego rozczarowania z tego powodu. Daje ona wyraz przekonaniu, że i w Genewie wybujałe nadzieje niemieckie co do Nadrenji spotka ten sam los. Poincaré stoi niewzruszenie na stanowisku nierozerwalnej łączności sprawy ewakuacji Nadrenji z uregulowaniem wojennych długów Niemiec i problemem bezpieczeństwa na wschodzie Europy. Te **iunctim** uniemożliwia traktowanie kwestji Nadrenji w oderwaniu, do czego dążą Niemcy przedewszystkiem. Przyłącza się do tego również sprawa **Anschlussu**, która dla pewnych spekulujących polityków francuskich stała się osobliwego rodzaju fantem, za wyrzeczenie się którego obiecuje się Niemcom daleko idące ustępstwa. Nasz pogląd na „Anschluss" Austrji do Niemiec znany jest czytelnikom. Uważamy za rzecz niedopuszczalną, by problemy, wypływające z podstawowych postulatów samookreślenia narodowego, były przedmiotem kombinacyj i targów. Sądzimy, iż demokratyczna opinja Europy bez wyjątku na tym samym stoi stanowisku. Rzecz inna, gwarancje bezpieczeństwa. To już nie jest kwestja zasad i tylko tutaj może być zastosowane **do ut des**. Dopiero wtedy można będzie mówić o ewakuacji Nadrenji, gdy Niemcy wyrzekną się ostatecznie tradycji Wilhelmowskiej i przestaną roić o aneksji ziem polskich. Prawdziwe, na twardych podstawach oparte, Locarno Wschodnie jest pierwszym tego warunkiem.

***

PO DZIESIĘCIU LATACH przyjechał do okupowanej w czasie wojny przez niemieckie wojska francuskiej mieściny Ayelles były komendant okupacyjny, niemiec Mehrmann. Przebywając na kuracji we Francji, ów Mehrmann postanowił odwiedzić Ayelles, w których spędził kilka lat wojny. Jeśli wierzyć socjalistycznemu „Populaire", ludność miejscowa komendanta poznała i zgotowała mu serdeczne przyjęcie. Jednakże burmistrz miasta zażądał, aby Mehrmann natychmiast opuścił granice Ayelles. Wspomnienia okupacji są jeszcze zbyt świeże, aby znosić widok tych którzy, w imieniu kaisera wykonywali we Francji władzę. Jest to jeszcze drobny w wielkim łańcuchu dowodów szczegół, stwierdzający, jak daleką jest ludzkość od „prawdziwego Locarna", pomimo wszelkich traktatów, paktów i układów.

***

NARODZINY NAJNOWSZEJ W EUROPIE MONARCHJI — albańskiej — miały dokonać się już w ubiegłym tygodniu przy akompanjamencie „entuzjazmu ludności", „gorącej woli ludu" i t. d. i tych efektów, które nazewnątrz mogłyby robić wrażenie spontaniczności tego swoistego „coup d'Etat". Stało się nieco inaczej — aczkolwiek efekt końcowy pozostanie całkowicie zachowany. Na głowę Achmed Zogu Paszy włożoną będzie korona. Ale w drobnym szczególe kryje się niekiedy głęboki sens. Oto nowy król Albanji nie będzie dziedziczył imienia sławnej dynastji królów albańskich — Skanderbega — nie będzie trzecim z kolei nosicielem dumnego imienia królewskiego. Będzie Zogu I-szym. Własną tworząc monarchję i imię swe rodowe okrywając chwałą, robi wszakże wielkie, bardzo wiele znaczące ustępstwo na rzecz tych, którzy mu i do władzy premjera, później prezydenta, wreszcie do majestatu królewskiego, dojść pozwolili. Byłego wójcinę z małej wioski, biednego „pastuszka", na tronie osadza nie wola innych monarchów, lecz decyzja pewnego robotnika kamieniarskiego, srodze w swoim czasie zbiedzonego — dzisiejszego pana Włoch — Il Duce.

***

PARLAMENT PARLAMENTÓW — zjazd uniji międzyparlamentarnej obradował po raz 25-ty od swego założenia, tym razem w Berlinie. Ze wszystkich państw cywilizowanego świata, z 37-miu krajów, posiadających ustrój parlamentarny, z Boliwji, San Domingo, San Salwadoru i Indyj Holenderskich, przybyli parlamentarzyści na ten zjazd jubileuszowy. Nie było reprezentowane, oczywiście, państwo sowieckie, w którem parlament — jako „przesąd burżuazyjny" — został zniesiony. Mimo to idea komunistyczna miała swego przedstawiciela w osobie egzotycznego, Mr. Saclatvali, persa z pochodzenia, członka parlamentu brytyjskiego, jedynego komunisty wśród 550 delegatów. — Na wstępie zgłosili protest przeciwko wypaczeniu pojęcia parlamentu przez swe rządy — egipcjanie, chorwaci i włoscy emigranci. Stwierdzając kryzys parlamentaryzmu w szeregu krajów, konferencja obradowała nad reformą pracy izb ustawodawczych. Obszerny referat na ten temat wygłosił były kanclerz niemiecki dr. Wirth, trafnie ujmując wady parlamentaryzmu, postawił na porządku dziennym sprawy: powoływania gabinetów na określony termin; włożenia moralnego obowiązku na opozycję, obalającą stary rząd i za utworzenie nowego; odciążenie parlamentu od pracy technicznej, przyczem izby ustawodawcze winny uchwalać ustawy w jaknajszerszym zakresie, pozostawiając mniej ważne szczegóły wydawanym przez rząd rozporządzeniom wykonawczym. Celem usprawnienia funkcyj parlamentarnych winien być ustalony bliższy kontakt ze społeczeństwem. Szereg izb handlowych, przemysłowych, robotniczych i t. p. posiadać winny prawa opinjodawcze; rzeczoznawców należy przyciągać do pracy w komisjach parlamentarnych. — oto główne trzy tezy przyjętego z wielkiem uznaniem referatu dr. Wirtha. — Sprawozdawca komisji dla „praw i obowiązków państwa", belgijski senator Lafontaine proponował przyjęcie zasady, iż w stosunkach pomiędzy państwami obowiązywać winna także etyka, jak i w stosunkach pomiędzy jednostkami. Jeśli więc niema już na świecie takiego społeczeństwa, w któremby jednostki same wymierzały sobie sprawiedliwość, jeśli największy analfabeta rozumie, iż w razie sporu ze swym bliźnim winien udać się do sądu o rozstrzygnięcie, a nie rzucać się z maczugą na swego przeciwnika, czemu więc całe narody i państwa, przez najświatlejsze rządzone umysły, miast poddać spory bezstronnemu sądowi, uciekają się do wojny, jako jedynego dotąd środka wymiaru sprawiedliwości? Konferencja międzyparlamentarna uchwaliła zatem rezolucję, wzywającą wszystkie państwa parlamentarne do poddania się przymusowemu rozjemstwu międzynarodowemu. — Na konferencji panowała wyjątkowa zgodność poglądów tak różniących się między sobą temperamentem, światopoglądem, rasą i zapatrywaniami, delegatów.

O NOWE METODY URZĘDOWANIA

Dobiegając dziesięciolecia istnienia Polski Niepodległej i Zjednoczonej, radzibyśmy poprostu zapomnieć już o czasach, gdy nie było Polski, były „zabory", kiedy każdy niemal polak — za wyjątkiem pojedyńczych, olbrzymią odpornością obdarzonych, bardzo silnych indywidualnie jednostek — musiał od kolebki nasiąkać różnemi właściwościami i cechami umysłowości oraz charakteru danego zaborcy. Niestety, wyzwolenie niepodległej jednolitej Polski z pod działania — dziś już pośmiertnego — wpływów zaborów, wpływów niewoli nie jest sprawą łatwą i dokonywa się w tempie zbyt powolnem.

Jedną z dziedzin naszego życia — niezmiernie ważną, — którą pod tym względem niedostatecznie oczyściła nawet rewolucja majowa, jest dziedzina sprawowania urzędu, *urzędowanie funkcjonarjuszy państwowych.*

Za wyjątkiem niewielu placówek, gdzie szczęśliwy dobór ludzi na stanowiskach kierowniczych, ludzi, pojmujących swe obowiązki w stosunku do niepodległej Polski inaczej zasadniczo, niż by się ustosunkowywało do władz zaborczych, zadecydował o ożywieniu i reorganizacji metod urzędowania, — w olbrzymiej przytłaczającej większości urzędów państwowych działają dawne metody — mamy odwagę wręcz to powiedzieć — niewłaściwe, niewolnicze, błędne, niewspółmierne z godnością Państwa.

Więc przedewszystkiem głęboka, niezwalczona *obojętność* dla istoty sprawy, powierzonej pieczy danej jednostki, danego resortu, to specyficzne ujęcie: „cóż to mnie *osobiście* obchodzi"!

Stąd wynika, że urzędowanie jest senne, bierne, anemiczne, zupełnie wyprane chemicznie z jakich bądź pierwiastków już nie ducha nawet, a poprostu żywego tętna krwi, poprostu — zainteresowania.

Stąd wynika, że urzędnicy w większości wypadków ożywiają się tylko wówczas gdy w godzinach urzędowania wykwitnie jakaś sprawa „osobiście" obchodząca: a więc jakaś sensacja, wyróżnienie, widoki zmiany, lepszej „posady" przykry lub ciekawy wypadek z osobą znajomą i t. d.

Obojętność do spraw związanych z urzędowaniem, najczęściej: zupełne „desinteressement" w tych sprawach jest to bezsporna, zrozumiała w swej genezie, spuścizna po zaborach; — sprawy urzędów pruskich, austrjackich, rosyjskich mogły być dla nas głęboko obojętne.

Jednak utrzymywanie się urzędników polskich pod tą hypnozą trwania zaborów i niewoli na przeciągu dziesięciu lat niepodległości — świadczy o czemś jeszcze innem: niedoborze ze strony kierownika w większości wypadków, wadliwej organizacji urzędowania, braku tego ducha ożywczego, bez którego niemasz żadnej pracy twórczej. I tu niech nam nie mówią, że niskie uposażenia, nędzny poziom stopy życiowej ogromnej większości urzędników decyduje o anemji, bierności, obojętności do istoty spraw w urzędowaniu, bo na to powiemy, że całe zastępy identyczne, tak samo nędznie wyposażonych urzędników biur prywatnych, sprawuje swe obowiązki zupełnie inaczej: dość wejść do instytucji prywatnej i porównać ją z urzędem, ażeby dostrzec różnicę nie tylko w tempie i intensywności, ale poprostu w samym *stosunku* do swych obowiązków i pracy.

Brak umiejętności organizowania pracy w urzędach i poprostu brak poczucia odpowiedzialności za sprawność, za rezultaty urzędowania — są to również pozostałości po okresie niewoli, ale tak groźne dla naszej przyszłości, że czas jest kwestję tę otwarcie postawić. Trzecią cechą ujemną i szkodliwą w życiu naszych urzędów państwowych jest przyzwyczajenie do *niejawnych*, powiemy poprostu — półjawnych, pokątnych metod urzędowania. A więc np., tu musimy podnieść rozmaite pół-oficjalnie, pół-urzędowo dawane przez urzędników zobowiązania

i obietnice, metody „odrabiania" w rozmowie telefonicznej sprawy, załatwionej inaczej i zgodnie z prawem w piśmie oficjalnem, metody wystosowywania do podległych sobie urzędników mętnych, niejasnych, dwuznacznych pouczeń.

Prostota, jawność, a również właściwe napięcie energji w urzędowaniu dziś niestety, należą jeszcze do wyjątków. Że się nie mylimy, tego dowodem jest chociażby pewien, zaiste historyczny, dokument, o którym się dowiadujemy. Jest to „skarga" pewnej jednostki, obowiązanej na podstawie istniejących przepisów prawnych, na pewnego urzędnika do jego władz o to, że „z ogromną energją" żądał wykonania owego obowiązku. (dosłownie!)

Nie nazwiemy tu urzędu, ani osoby oskarżonej, ani skarżącego, w ten wypadek zamieszanych. Tyle tylko powiemy, że tego rodzaju pretensje i skargi na urzędnika mogą mieć miejsce tylko w niezdrowej atmosferze urzędowania. Urzędnik ów niewątpliwie powinien zostać przez swe władze zaszczytnie odznaczonym, bo jakkolwiek energja w wykonywaniu powierzonych mu czynności powinna wchodzić w zakres jego codziennych obowiązków, tem nie mniej dziś, gdy jest to, niestety, czemś tak ekstraordynarnem, że go naraża na skargi, musi się z tego wyciągnąć konsekwencje.

Poruszamy tu z całą świadomością sprawę aktualną, pilną, bolącą. Młoda państwowość polska musi mieć urzędy, twórczo działające, urzędników, ożywionych dumą i radością tworzenia nowych form, wykonywania własnych praw, budowania Ojczyzny.

Duch odpowiedzialności obywatelskiej za swe czynności, za ich produkcyjność, duch energji i duch *entuzjamu* w stosunku do codziennej, żmudnej pracy nad budową Polski, musi być wprowadzony do urzędów państwowych.

ZNAK ZAPYTANIA

Podpisanie paktu Kelloga w bieżącej gwarze dziennikarskiej otrzymało miano „wielkiej manifestacji pokojowej". Określenie to jest trafne i wcale nieźle ujmuje istotę rzeczy. Manifestacje mają tem większe znaczenie im w lepszej pozostają zgodności z rzeczywistością, ukrytą narazie w świadomości zbiorowej państw i narodów i stanowiącą podłoże jutrzejszych czynów. Jeżeli manifestacja wyraża prawdę, ma wielkie, nieraz przełomowe znaczenie, jeżeli wysuwa i rozdyma fikcję, waga jej równa się zeru.

Wszystko zależy od tego, w jakiej mierze okaże się czynną i pomysłową w najbliższej przyszłości inicjatywa amerykańska, bo z obecnego nastroju Europy trudno wyciągać optymistyczne przewidywania.

Minister Briand, który z racji swego stanowiska jest niejako obowiązany do pewnego urzędowego optymizmu, w jednym z ostatnich wywiadów wyraża przekonanie, że pakt będzie miał wielkie hamujące znaczenie, gdyż zagraża ewentualnemu napastnikowi wybuchem powszechnego oburzenia i zepchnięciem go do roli parysa cywilizowanego świata.

Czy jednak można to uważać za pewne?

Zapewne, o ile winowajcą okaże się mniejsze państwo bez szczególnych związków i wpływów. Ale cóż się stanie, gdy odwoła się do siły taka potęga, od której trudno będzie zażądać obrachunku? Widzieliśmy przecież przed niewielu laty jak postąpiły Włochy z Grecją, a Anglja z Egiptem. Liga w obu wypadkach odegrała dość opłakaną rolę i poprostu nie ośmieliła się podnieść głosu. Pakt Kelloga nie posiada, jak wiadomo, organu dozorującego, nikt więc nie będzie wystawiony na kompromitację, ale też nikt nie będzie miał obowiązku reagowania.

W tych warunkach owa groźna fala oburzenia, która ma przygnieść moralnie napastnika, może się okazać bajką i straszakiem na dzieci.

Jeżeli opinja świata ma uwierzyć w realne znaczenie paktu, trzeba iżby na faktach mogła stwierdzić, że rządy biorą go na serjo i liczą się z nim w swych kalkulacjach i czynach. Czyż wiara w ustalenie lub choćby tylko w lepsze zabezpieczenie pokoju da się pogodzić z obecnym wyścigiem uzbrojeń i konkurencyjną o nie dbałością? Pakt stanie się wkrótce bezwartościowym świstkiem papieru, jeżeli nie pójdą za nim pewne konkretne zarządzenia i umowy, które w oczach szerszych mas uchodzić muszą za proste konsekwencje powszechnych pokojowych zobowiązań i wiary, jaką się do nich przywiązuje.

Na drodze do pacyfikacji świata stoją faktycznie dwie przeszkody. Pierwszą z nich stanowią ambicje i apetyty większych państw, które nie chcą się zrzec swych przywilejów, datujących się z różnych minionych czasów, a zdobytych po największej części przemocą. Przywileje te i zdobycze, usankcjonowane właściwemi traktatami, są częścią składową obecnego porządku, istniejącego status, jak się mówi w języku politycznym. Ów status zawiera tedy i łączy we wspólnej całości korzyści i przywileje jednych, a ucisk i niewolę innych — to wszystko na równych prawach, wypływających z zobowiązań traktatowych.

Trudno wyobrażać sobie, aby pokrzywdzone i uciemiężone narody chciały podtrzymywać tę wspólną budowę w imię hasła ogólnego pokoju. A przecież na tej podstawie jest zbudowana Liga Narodów, która ujarzmienie ogromnych obszarów Azji i Afryki uznaje za fakt normalny, stanowiący część istniejącego stanu.

W Ameryce od samego początku zrozumiano fałszywą nutę w samej koncepcji Ligi Narodów i agitacja przeciw Wilsonowi ten pakt ustawicznie podkreślała. Pakt Kelloga nie nakłada na żadnego z uczestników obowiązku bronienia istniejącego stanu, lecz i ten w zastosowaniu praktycznem musi o to pojęcie zahaczyć, gdy chodzi o wskazanie „napastnika", czy winowajcę wojny. Obecny kryzys w Chinach daje nam poniekąd ilustrację tych teoretycznych sprzeczności. Gdyby nacjonaliści chińscy rozporządzali większą siłą, mogliby zażądać w krótkim terminie wycofanie z ich terytorjum wojsk obcych, a w razie odmowy lub nieskończonej zwłoki rozprawić się z nimi zbrojnie. Któż byłby w tym razie „napastnikiem"? „Świat cywilizowany", z Ameryką włącznie, uznałby, że wina napadu spada na żółtych nacjonalistów„ lecz ci mogliby odpowiedzieć, że nie opuszczali swego kraju i już z tej racji nie mogli się dopuścić napaści na zamorskich przybyszów. Co zaś do wojsk okupacyjnych, to obecność ich w Chinach jest dalszym ciągiem dawnych najazdów i aktów przemocy, które z natury rzeczy nie mogły stworzyć obowiązującego stanu prawnego.

Możemy wziąć odpowiedni przykład z własnych naszych dziejów i przypomnieć rozprawę zbrojną z moskalami w Warszawie w 1794 r. Rzecz ciekawa, coby o niej powiedzieli współcześni pacyfiści. Czy może uznaliby Ki-

lińskiego i jego współtowarzyszy za burzycieli „pokojowej okupacji” Igelstroma i jego załogi?

Współczesne rządy, które na przyszłość obiecują wyrzec się zbrojnej przemocy, ani myślą wyrzekać się tych korzyści i przywilejów, jakie ta przemoc dawała im do sławnej daty 27 sierpnia t. r. Ogłaszają one wszelkie zdobyte na tej drodze traktaty i umowy za nietykalne i podlegające zmianie jedynie przez dobrowolne porozumienie.

Jest to zasadnicza sprzeczność, która zbyt jawnie wyraża znaną praktyczną myśl: beatus qui tenet, myśl, która formalnie może się nawet godzić z pacyfizmem, lecz w istocie ośmiesza go i doprowadza do absurdu.

Drugą przeszkodą, utrudniającą pacyfikację jest powszechna obłuda i ściśle z nią związana nieufność. O ile wogóle może być mowa o postępie moralnym ludzkości, to obłuda stanowi dziedzinę, leżącą widocznie po za jego obrębem. Raczej wzrosła w ostatnich czasach niż się zmniejszyła i zapewne dalej pójdzie w tym samym kierunku.

Specjalnie na gruncie pacyfizmu zapanowało udawanie łatwowierności i optymizmu. Nie brak nawet takich, którzy z tego udawania robią nakaz moralny, i utrzymują, że jeżeli nawet nie wierzy się w szczere zamiary pacyfikatorów i w skuteczność ich roboty, ma się obowiązek głoszenia na ich cześć pochwał i budzenia dla niej zaufania, bo pesymizm i sceptycyzm wywierają na nią wpływ szkodliwy... Moralista i filozof francuski La Rochefoucauol wyraził się, że obłuda jest hołdem, złożonym cnocie. W danym razie byłaby ona hołdem, złożonym idei pacyfistycznej.

Czy atoli moralista francuski nie ulega złudzeniu? Czy mniemany hołd nie jest poprostu skuteczniejszym sposobem oszukiwania ludzi? Na mocy jakiej logiki podbijanie moralnego kredytu przebiegłości i podstępu ma uwolnić świat od oszustwa?

W tej samej chwili, gdy zgromadzeni w Paryżu dyplomaci podpisują pakt Kelloga, obiega świat pogłoska o nowym tajnym sojuszu pomiędzy dwoma mocarstwami. Pogłoska jest zapewne fałszywa, a przynajmniej przesadna, lecz znamienną jest rzeczą, że tu i owdzie znajduje wiarę i wywołuje zaniepokojenia. Ha, kto wie? mówi niejeden — podpisać pakt, potępiający wojnę, a za plecami urzędowych pacyfistów przybić tajny sojusz bojowy, to byłby właśnie majstersztyk w stylu naszej epoki. Wolno wszakże przypuszczać, że jest to już chyba nadmiar podejrzliwości.

T. Grużewski.

„GŁOS PRAWDY” LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

JOACHIM LELEWEL JAKO MIŁOŚNIK KSIĄŻKI

I.

Bibljofilstwo czyli miłośnictwo książek jako ruch uspołeczniony, zorganizowany, towarzyski nie sięga u nas wstecz poza bieżące trzecie dziesięciolecie XX-go wieku, ale szacunek, miłość i przywiązanie do genjalnego wynalazku, dzięki któremu jedynie człowiek niewolnik współczesności wszelkiej staje się względnie panem czasu, a przynajmniej uczy się nawigować w tym żywiole między Scyllą przeszłości a Charybdą przyszłości, zgoła inny słowem stosunek uczuciowy do książki i ujęcie rozumowe jej wartości, niż w obcych nam warunkach, powstać musiały właśnie wśród Polaków, rozbitków z okrętu zdruzgotanego dawnej Rzeczypospolitej. To, co na drodze europejskiego postępu, obojętnego na katastrofę naszą, mogło być — przyjemnością, rozrywką, modą, snobizmem, wyrazem wyrafinowanego przesytu manji kolekcjonerskiej, u nas weszło w orbitę spraw narodowych i płonęło w kaplicach bocznych zdala od tłumów, wpatrzonych w obrzędy odprawiane przy wielkim ołtarzu Ojczyzny Niepodzielnej, ale płomyk nieustający żarliwości najwytrwalszej w tych kaplicach niegasnący, ileby znikomo niewiele jednostek nie skupiał, do dzieła udoskonalenia duchowego wszystkich w świątyni skupionych dołączał urok wysiłku jednostkowego pracy ostatecznej i najodpowiedzialniejszej: suum cuique w winnicy Słowa, co jest moralną kwintesencją bibljografji, a może i bibljofilstwa?

Lelewel, Kraszewski ,Estreicher, — uczony, pisarz, bibljograf, — wszyscy troje cyklopi pracy w swej dziedzinie, byli każdy na swój sposób, na miarę swych uczuć i wagę przekonań—bibljofilami. Czy jednak istota bibljofilstwa każdego z nich da się określić cyframi książek zebranych i opisanych? Niewiem, zali pierwszy z nich przy stosowaniu takich norm kwalifikacyjnych mógłby kandydować na członka któregokolwiek z obecnych dziesięciu polskich towarzystw bibljofilskich: rozcinał i czytał rozmaite książki i tylko bardzo stare wyczerpująco (autor, tytuł, rok, miejsce wydania, wydawca, drukarz format, stron, i t. d.) opisywał. Już w konwikcie pijarskim „we wszystkich studjach mierny, ale wymierny”, świadomie ograniczający czyjekolwiek zakusy, np. T. Czackiego, na samodzielność studjów, tylko w tem, co sam przedsięwziął gorący był i niestrudzony. Może już około 1810 r. na posadzie u ministra spraw wewnętrznych Łuszczewskiego, gdy szedł mu rok 25-ty, wynagradzając sobie nudy urzędowania przeglądaniem ksiąg pozwożonych z klasztorów, zasmakował w dociekaniach bibljograficznych i ocenił w całej pełni wartość tych badań w szeregu nauk pomocniczych historji, jakiemi były dla niego przedewszystkiem geografja odczuwana w postaci historji, chronologja, numizmatyka, prawodawstwo polskie i in. Powołany w r. 1815, jako zastępca, na katedrę historji do Wilna, czuł się w tem zastępstwie za ciasno i dążył do profesury historji, możliwość której zarysowała się na nowopowstającym uniwersytecie w Warszawie. Perspektywa ta wszakże przedzierzgnęła się tylko w bibljotekarstwo czynne (St. Krzemiński J. Lelewel. „Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej”, tom IV). Gdy Linde został dyrektorem bibljoteki,

Lelewel otrzymał tytuł „zastępcy bibljotekarza" i w tym charakterze spędził w Warszawie lata 1818—1821. Podbibljotekarstwu Lelewela w Warszawie zawdzięcza polskie piśmiennictwo naukowe humanistyczne, dzieło w swoim rodzaju jedyne: „Joachima Lelewela bibljograficznych ksiąg dwoje", w których rozebrane i pomnożone zostały dwa dzieła Jerzego Samuela Bandtke „Historja drukarń krakowskich" tudzież „Historja bibljoteki Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie" a przydany Katalog Inkunabułów Polskich" (Wilno 1823 — 1826).

Tytuł — jak barbakan okrągły, zewsząd obronny, znikąd dostępny, najeżony dla zwykłego śmiertelnik kuszami, zaopatrzony w ukrop: „historja drukarń tudzież historja bibljotek", „rozebrane i pomnożone" i dla ostatecznego pognębienia laików „przydanie Katalogu Inkunabułów"; trzeba uwzględnić przytem jeszcze miejsce przechowania w każdym księgozbiorze pierwszego oryginalnego wydania dwóch tomów tych „ksiąg dwojga", dbałość każdego posiadacza o konserwację należytą szacownej rzadkości, której cena... Czego zaś wogóle o tych cenach nie napisał sam, J. Lelewel — dowiemy się niżej. Jednakowoż znalazł się sposób i na taki barbakan. Jest nim wydanie wykonane „sposobem fotochemigraficznym staraniem i nakładem Hieronima Wildera (Warszawa, ul. Trauguta 8) w r. 1927". Ta graficzna trawestacja pierwotworu Józefa Zawadzkiego, wileńskiego typografa Imperatorskiego Uniwersytetu, pozwala na dokonanie czegoś, co w stosunku do pierwodruku byłoby świętokradztwem: rzetelne przyswojenie sobie objektu, legalne wywiezienie poza obręb Warszawy, włóczęgę poranną z książką w szarozielonej okładce wgłąb ciemnej czy jasnej zieleni nierozpiłowanej jeszcze „na letnisko" jakiejś „podkowy leśnej", gdzie ostrze nawet niezgrabnie utemperowanego ołówka niweczy całą innego fin-de-siecle'u obronność barbakanu i cieszy wzrok niespodzianką „kwiatesów" ukrytych w gąszczu bibljograficznej erudycji. Marginesy pokreślone ołówkiem, ale zato pozbawione jakichkolwiek zmarszczek, pogodne, w sile wieku męzkiego, wita nas, bibljofil — bibljofila, ten, o którym również polityk, pisarz i bibljotekarz, Stanisław Krzemiński, sądził dobrych dwadzieścia lat temu. „Nauczyliśmy się cenić historyka, ale niedostatecznie jeszcze odczuwamy bijący od Lelewela - wygnańca czar uczucia". Bijący — od wygnańca, utajony — w bibljofilu.

By nie narażać czytelnika na erudycję pomnożoną komentatorstwem ograniczamy pole naszych, bibljofilskich tylko dociekań do jednego, pierwszego tomu dzieła lelewelowskiego, starając się przedewszystkiem o pełne brzmienie głosu i tonu autora, którego zdolności oratorskie i zasoby stylistyczne nie nam przypominać i podkreślać wypada. Na monotonnej kanwie dzieła Bandtkiego tak, najwymowniej dla nas, tłómaczy Lelewel mimochodem przyczynę może najistotniejszą dokonanego „pomnożenia": objaśniając staropolskie nazwy miesięcy — „nieraz jeszcze interes narodowego języka niejakie roztargnienie sprawiać nam będzie, przerywać bibljograficzne poszukiwania" (s. 46), dygresja o kalendarzach daje przykłady, „jak nie obojętną jest wiadomość o kalendarzach dla miłośników rzeczy narodowej" (s. 71), ale zresztą i wiadomość łacińska — „nie byłaby nas odstręczyła od czytania i zgłębiania historji drukarń krakowskich, a z nimi rzeczy i prac narodowych" (s. 99), o czem to nie wypadnie pisać, skoro trzeba, „że parę prałata tego (Osińskiego) dzieł tak ważnych dla bibljografji i literatury polskiej mało są naszym literatom znane, do czego niemało się przyczyniały trudne księgarskie związki, a niedbałość księgarzy wołyńskich" (s. 111). Tak sfera zainteresowań uczonego rozszerza się wzwyż i wdal na mnogość najrozmaitszych zjawisk, oglądanych przez pryzmat naukowo pojętego „interesu narodowego", ożywionego miłośnictwem, jakże dyskretnie i delikatnie zaznaczonem, jakby przypadkowo. O klasycznym objekcie bibljofilstwa, inkunabułach: „przystępujemy do sprawy kilku pierwotnych druków, o których tyle pisano! i które tak dalece miłośników ksiąg interesują" (s. 25 — 26); o względnej wartości wszelkich pierwodruków, „różne konstytucje ponieważ są w woluminach przedrukowane, do miłośnictwa książkowego należą" (s. 176); zachęca do celowych poszukiwań: Wróbla psałterz uszkodzony w bibljotekach przy Uniwersytecie Warszawskim i w Puławach, więc „jaki z nich opis dał się wyciągnąć, taki tu załączam, dla wzbudzenia poszukiwaczy ksiąg naszych do wybadania i tłomacza i drukarza" (s. 113); pobłażliwie określa bibljofilstwo możnych, pisząc o statutach, syntagmatach, węgierskich: „druk ich musiał przypaść mało co przed zgonem króla Macieja, tak, że nie miał już pory król Maciej cieszyć się tym płodem, rozsławiać go po świecie uczonym, i nasycać nim próżność swoją", (s. 65); bibljofilstwo to nie zrzeszenie wtajemniczonych, — pomocnym odkrywcą może być każdy: „Jakóba z Iłży" (o istnieniu którego świadczą duże tytułowe karty kalendarzów przypadkiem nalepione na okładkach książek) „zostawuję do poszukiwania mieszkańcom Krakowa" (s. 69 — 70); o pracy przez niego samego niedokończonej, pisze Lelewel: „nie zdążyłem... może kiedy kto inny tym zabawić się zechce" (s. 76).

Nie zdążył zapewne również Lelewel odpowiedzieć w sposób zadawalający nas na pytanie: co to jest bibljofilstwo? Kto jest bibljofilem? — ale na karcie Świata Książki bibljofilskim zapędom eksploracyjnym nakreślił ręką pewną, sztycharz wszak fachowy, kierunek i cele zasadnicze. Sam zaś ulegał zapewne wszystkim potrosze, lecz tajemnicę swego własnego nerwu bibljofilskiego zdradził w § XVII pisząc „o najdawniejszych drukach statutów": „tyle już opisań dało się czytać, a szczęście pozwoliło mi trzy exemplarze wydania bez ryciny, a cztery exemplarze z ryciną oglądać." Szczęście — wszystko i nic. Rezonując o tem, już opuszczamy teren właściwy. Ma je się w ręku lub sylabizuje wyraz tylko, i ręka, która pieści, własne czy cudze to rzecz drugorzędna, takie a nie inne exemplarze różnych czy pseudo identycznych wydań, już z piórem się nie rozstanie dopóki tak czy owak ten ślad trafem może doznanego szczęścia nie zabłyśnie w innej księdze za ciężką kotarą uczoności początku ubiegłego wieku światełkiem uczuć jednakich po wszystkie czasy. Światełek tych, jak małych Stanisława Szarffenbergera druków „niezmiernie większa liczba istotnie w swoim czasie exystowała. Czas poniszczył, zostały miłe wspomnienia. Wspomnienia drobnych dziełek, któremi Kraków i z Krakowa czytająca Polska zasypaną była. Dziełek łacińskich i polskich we wszelkim rodzaju. Poginęły i tak, że zaledwie tu i ówdzie po jednym exemplarzu znajdują się". Statuty ważkie i małe dziełka, różnych rozmiarów jednako mocne ogniwa łańcucha dziejów, którego koniec pozbawiony kotwicy nadziei raczej okowy przypomina. Ogniwo za ogniwem jak najbaczniej śledził historyk, i kiedy uczony milczeć musiał, zabierał głos bibljofil, skarżąc się na tak częsty u nas brak wykończenia, doskonałości odręcznej, całości sharmonizowanej w rzeczach

druku. Ileż w tych skargach lelewelowskich, świadectwach a contrario szczęścia niezaspokojonego, pierwszych zwrotek litanji żałosnej, którą w całości odmawia każde pokolenie bibljofilów nietylko w Polsce.

„Speculum Naturale, dużo uszkodzony, na początku, na końcu i na różnych miejscach pośrodku; a co najgorsza przy dezolacji swojej, gdy był już bardzo dawno, bo okładki są jeszcze z XVI-go wieku, restaurowany, karty jego w sposzyciu pomieszane zostały, karty które są ze wszelkich wskazówek porządku wyzute" (s. 36). „Z kopii ryciny do niniejszego załączonej może sobie czytelnik sądzić, jakiego wieku są zmarszczki na twarzy królewskiej, a pewnie nie zechce w żyjących osobach poszukiwać podobieństw do doktorów, którzy wychudłemu asystują królowi. Dajmy pokój niezgrabnym rycinkom" (s. 58). O statucie Łaskiego: „Musiała znaczna liczba exemplarzy mocno zdefektowanych pozostać, które kompletowano dodrukowaniem brakujących arkuszy. Może być, iż Bentkowski jaki exemplarz podobnie wyłatany widział, i łataniną jego z odmiennym kilku pergaminowych exemplarzy końcem wiążąc o innej edycji rezonował" (s. 132). „W XVII-ym wieku spospolitowała się sztuka drukarska: zaniedbana poprawność, niedbalstwo o dobroć druku i papieru powszechnemi się stały. Jeśli gdzie z tego względu większe ukazywało się staranie, zawsze głównym widokiem był zysk i dla spekulacji piękne imię i prawdziwa zasługa chętnie zaniedbywane" (s. 187). „W okresie 1650 — 1750 powszechnie w Europie drukarstwo niejako upodlone zostało: jak dalece upowszechnione i spospolitowane, tak zdana na osoby nieprzezorne, bez prawdziwego światła, które jedynie swojego zysku poszukiwały. Chciwość korzyści pieniężnej usunęła wpływ uczonych i światłych ludzi, wygnała z officyn prasujących wiele gust i schludność" (s. 208). „W Krzemieńcu genjusz Czackiego chciał mieć gimnazjalną typografję własną. Znaleziony giser krajowy wycinał nieźle pojedyncze litery, nie trafiał do należytego ich w jedną harmonję ukształcenia. Nie dość tresowny druk został na nowych prasach nie szykownie aż do niezgrabności użyty". (s. 226). Jezuici w Połocku „z Petersburga pozyskując drukarskie potrzeby, w użyciu ich zostawili wyraz posępny i przygłuszony" (s. 227). „Współczesne krakowskie drukarnie są całe czynne, chociaż ozdobie warszawskich i wileńskich nie równają. Często w nich nawija się przedawniony dosyć zbity i nie zawsze szykowny druk, papier nie osobliwy, nie dobrze przyprawiony farbę psujący, farba zbyt przetłuszczona i szafranowa, wejrzenie ksiąg drukowanych odrażliwym sprawia. Co zaś najlepszy charakter, ten z Wiednia ściągany, jest ciężki, wymuszony, nabrzękły, nie dosyć cienia mający". (s. 227 — 228).

Lament bibljofila zakończymy cytatą, która i naszej ochocie do cytowania kres położy: „Król 1539 ogłosił wolność drukowania każdemu co się komu podoba. Pozwolenie to Szarfenbergerg i Vietor chciwie zaaplikowali wdzierczego przedrukowywania i rzadko jakie przedsięwizęcie officyny Unglera, podobnej grabieży uszło".

Znajdą się jeszcze i inne świadectwa nie „wymiernego" przywiązania J. Lelewela do książki we wszystkich etapach towarzyszenia jej człowiekowi żywemu.

K. Zieleniewski.

(dokończenie nastąpi).

„POETA"

Znalazłszy się na wilegjaturze,
Mozoli się całemi dniami poeta:
Jaki asonans stworzyć miejskiej rurze,
Jaki wspól-dźwięk do... kastanietta.

Ani wie,
Że wieś go uprzedziła i w tych sprawach;
Że prosty Józek czy Jasiek, z nawyku,
Stanąwszy na weselu przed muzyką
Sypie asonansami jak z rękawa.

Wł. Orkan.

BIURO

Kilka stołów rzuconych w symetryczne grupy,
stosy akt, ksiąg, rejestrów, rozrzucone wszędy,
krzykliwa plama okna
i żywe trupy
włóczące się bezmyślnie tędy i owędy;
maszyny grzechot dzwoniący ponuro,
aksamitny szept piór,
liczydeł stukanie —
to biuro.
na szefa powitanie,
A — a — a rozbrzmiewa unisono chór
w pokłonach gną się trupów karki.
Potem znów nad stołami przygarbione barki
poszept piór aksamitny
i liczydeł stukanie.
Z gabinetu się dymek błękitny
sennie wysuwa i kusi krzykliwie:
rozprostuj barki, pal, zapal człowiecze!
A po kolumnach cyfr, myśl spływa i ciecze,
szeleszczą papiery..
Życież to, psiakrew? do cholery!!
Trach, trarach, trarach, trach...
maszyna się rozgdacze jak kura swarliwa,
zacina się, szepleni, wyzywa,
aż wreszcie jakaś niecierpliwa ręka
rozpacznym trzaskiem zamknie grubą księgę
i przerażona przycupnie jękliwa
cisza.
I znowu szelest aksamitny piór. —
Pod wtór liczydeł drewnianych stukotów,
pod szelest papierów drażniący,
z między męczących cyfrowych oplotów
myśl się wysuwa;
bezgłośnie grozi i warczy:
czy do pierwszego starczy?
Pochyla się nad papierem twarz,
zmęczona, blada jak opłatek.
w wyblakłych oczach cyfry plączą się raz wraz.
A może, może dadzą dodatek?
A może...?
I wleką się godziny szare, beznamiętne,
leniwie krąży krew—w żyłach, z których życie wyssane.
W gabinecie kroków rytm,
cień pada na przeciwną ścianę;

piór słychać zadyszany śpiew:
szef! szef! szef!
Maszyna trzepie wściekle,
to znowu ponuro,
gromadka trupów za życia jeszcze w piekle,
zwija się w męce pod szept piór. —
To biuro!
To nasze biuro!

Stanisław Kazimierz Stanek.

KOBIETY I MODA W PRZYSZŁOŚCI

(Groteska)

Działo się w roku 1999. Reporter Czahura zdążył zaledwie połknąć swoje trzy pastylki witaminowe, które zwykł był spożywać na śniadanie, kiedy zafurkotał dzwonek telewizjofonu i na matowej płycie aparatu ukazało się wnętrze sypialni naczelnego redaktora Snowbury.

— Hall, Czahura — rozległ się w tubie mikrofonu basowy głos redaktora.

— Dzieńdobry, panie szefie. TULI - FRULI-KIKI - FURDA, przepraszam, jestem jeszcze niegolony — odpowiedział reporter, stanąwszy przy aparacie i zbliżywszy do siebie matówkę telewizora. Nie mogąc rozpoznać na płycie twarzy redaktora, zawołał po chwili:

— Ale gdzieś się pan schował, bo nie widzę twarzy. KRAAMA - AMAKO.

— Oto jestem, — odezwał się bas redaktora i reporter Czahura istotnie zobaczył na płycie, że twarz i fijołkowy nos pana Snowbury wyłoniły się z jakiejś dużej metalowej kuli na toaletce, przed którą siedział szef.

— Czy ma pan na dziś jakieś zlecenie? — zapytał dziennikarz.

— Mam. Każ pan sobie natychmiast wypłacić w kasie redakcji 100 dolarów na koszt instalacji magnetycznego intensyfikatora przy swoim telewizjofonie. Nie będzie pan potrzebował za każdym razem podchodzić do aparatu i będzie pan mógł rozmawiać nie wychodząc ze swojej łazienki, jeżeli usłyszy pan sygnał dzwonka. Płyty telewizyjne powinny być także nietylko przy aparacie, ale w każdym pokoju pańskiego mieszkania. Ekonomja czasu, panie Czahura. System pańskiego aparatu sięga czasów Ligi Narodów, oddaj go pan do muzeum. Times is money. KA... KAJA-KAJATAKO... psiakrew. JAKO TAKO. Do pioruna z tą stenologją, nie mogę sobie z nią rady dać.

— Słucham, panie szefie. 100 dolarów z kasy na intensyfikatora. All right. Nic pozatem?

— Owszem, jeszcze coś pozatem. Widzi pan tę metalową kulę? Wie pan co to jest? Automatyczny przyrząd do golenia. Wsadza się głowę na pół minuty, naciska pan guzik, i jest pan doskonale ogolony, wymyty, wyperfumowany, upudrowany i uczesany. Skaleczenie twarzy jest wykluczone. Kosztuje 2.000 dolarów, ale może pan nabyć przyrząd, który goli w ciągu dwuch minut za 50 dolarów. Te aparaty są już w użyciu od tygodnia. Czy pan o tem wiedział.

— Nie miałem pojęcia, panie szefie. Jak panu wiadomo wczoraj wróciłem z wyprawy samolotem rakietowym na gwiazdę 1172216b w konstelacji Raka, gdzie badałem rozwój wodociągów i kanalizacji u tubylców.

— No, jakże tam na gwieździe? — ożywił się redaktor. — Ciekawe życie, kultura...

— Ależ naturalnie, redaktorze.

— Cognac jest, Baczewski, Winkelhausen...

— Jest, redaktorze. Wogóle — wysoka cywilizacja. Obyczaje bardzo surowe. Zdrady małżeńskie są rzadkością. Wiarołomstwo karane jest śmiercią...

— Dzielni ludzie — egzaltował się redaktor. U nasby tego trzeba, walczę o to od 120 lat. Obyczaje, obyczaje, w tem sęk, panie Czahura...

W tej chwili reporter zobaczył na płycie aparatu, że drzwi wiodące z sypialni pana Snowbury do łazienki otwierają się i do pokoju wpada okryta prześcieradłem jakaś stara kobieta, o zmarszczonej, pokrytej piegami twarzy i siwych włosach, w której reporter Czahura odrazu poznał znaną gwiazdę filmową Si-Sux. Si-Sux z wesołym okrzykiem rzuciła się na szyję pana Snowbury, który w konsternacji nie zdążył w porę wyłączyć telewizjofonu. Dopiero po chwili zgasła płyta aparatu.

— Kanalja ten Snowbury. Żona od dwuch miesięcy żyje w cylindrze na dnie Atlantyku, gdzie bada życie drzew koralowych, a on sobie z Si-Sux... — pomyślał reporter. — Obyczaje...

Po upływie kilku minut odezwał się znów dzwonek aparatu.

— Tu Snowbury — kontynuował redaktor. — Przepraszam pana, chwilowy defekt w telewizorze. O czem to mówiliśmy. Aha. Gwiazda 1172216b w konstelacji Raka. Ale, ale, czy to prawda, że tam stosowany jest jeszcze system paszportów zagranicznych za wysoką opłatą?

— Ale co znowu, redaktorze. Pan pomylił. To w Polsce.

— Nie Polska — odparł redaktor, ale gwiazda 1172216b w gwiazdozbiorze Raka.

— Ależ redaktorze...

— Słuchaj pan, Czahura, przerwał redaktor. Musi pan zrobić wywiad. O godzinie 12-ej z więzienia Trocadero zwolniony zostanie pewien zbrodniarz, który tam przesiedział 80 lat. Niech się pan nim zaopiekuje i napisze coś o tem do jutrzejszego numeru. Good bye.

Reporter spojrzał na zegarek. Była za 10 minut dwunasta. Po chwili mknął już ruchomym trotuarem w kierunku więzienia Trocadero. Szybko przeszedł na drugą połowę trotuaru, biegnącego w odwrotnym kierunku, zaś w dwie minuty później był już na jednym z przystanków lotniczych, rozsianych w odległości 200 metrów jeden od drugiego nad głównemi ulicami miasta. Wskoczył do awionetki, które startowały co pięć minut i dwie minuty po dwunastej znalazł się po drugiej stronie miasta przed bramą więzienia.

Czekał zaledwie kilka minut, kiedy brama otworzyła się i wyszedł niewielkiego wzrostu szpakowaty mężczyzna około czterdziestki, ubrany nieco po staroświecku.

— Czy to pan opuszcza więzienie po 80 latach? — zapytał go, zbliżając się, reporter.

— Tak, to ja. Nazywam się Simpson, z kim mam przyjemność?

Reporter wymienił swoje nazwisko, w imieniu swego dziennika zaofiarował się z usługami p. Simpsonowi i, ściskając jego dłoń, zapewniał:

— SMA - AMATRIS - SMA.

— Pan daruje, nie rozumiem, — odpowiedział p. Simpson.

— Jakto, pan nie stenologuje? Aha... naturalnie... To jest, proszę pana — stenologja. Pojmuje pan, że przy dzisiejszym tempie życia nie można sobie pozwolić na tracenie czasu na rozmawianie staremi metodami językowemi. Stenologja jest to zarazem system mówienia skrótami i język międzynarodowy. Sądzę jednak, że wskutek rozwoju telepatji, w niedługim czasie mówienie wogóle stanie się zbytecznem. Przyrządy do odgadywania myśli mają niebawem stać się rzeczą powszechnego użytku.

W tej chwili p. Simpson stanął, jak wryty na widok dwuch nagich kobiet, które ich minęły i którym reporter się ukłonił.

— Panie — zawołał, — co to ma znaczyć nagie kobiety?

— Nagie? — odparł reporter — przyznam się panu, że niebardzo rozumiem znaczenie wyrazu „nagie". Wyraz ten oddawna nie jest w użyciu. Poprostu, kobiety. Pan napewno chciał powiedzieć, że nie mają na sobie stroju. A tak, kobiety już od lat kilkudziesięciu odrzuciły wszelki strój i moda kobieca dotyczy jedynie kroju opasek, któremi kobiety zdobią sobie ręce i nogi, jak pan to przed chwilą widział.

— Wie pan — odpowiedział Simpson. — Gdybym nie wiedział, w jakim wieku żyjemy, przysiągłbym, że widziałem Kleopatrę i Messalinę, oczywiście... w negliżu...

— Pan się nie omylił — odparł reporter. Znam te panie. Jedna z nich jest żoną dyrektora Linji Międzyplanetarnej Ziemia — Mars i jest zrobiona na Kleopatrę, a druga, to wdowa po Palmirze, słynnym wynalazcy maszyny, umożliwającej wąchanie i dotykanie na odległość .Jest zrobiona na Messalinę.

— Panie, powoli, powoli, na litość Boską, bo mi się w głowie kręci... międzyplanetarna linja... dotykanie na odległość... zrobiona na Messalinę...

— Ależ w tem niema nic nadzwyczajnego. [illegible]bianie sobie twarzy według upatrzonego modelu zapomocą chirurgicznych zabiegów jest rzeczą najodpowiedniejszą i robią to prawie wszystkie kobiety. Chirurgja kosmetyczna doszła do takiej perfekcji, że wystarczy z odpowiednią fotografją udać się do specjalisty, a w ciągu 7 dni najbrzydsza kobieta będzie zrobiona i to na długi czas ściśle według przedstawionego wzoru. Oczywiście, że przedtem kobiety te poddają się operacji odmładzającej, o której zapewne pan słyszał.

— O tak, — odparł p. Simpson, — sam pod[illegible] się odmłodzeniu dwa razy i dlatego siedziałem osiemdziesiąt lat.

— Te dwie kobiety, które nas minęły, są właśnie odmłodzone i modelowane — kontynuował reporter.

— Są zadziwiająco piękne.. Wyobrażam sobie, jakie muszą mieć powodzenie.

— Nie mają najmniejszego powodzenia.

— Jakto?

— W tem właśnie sęk, panie Simpson. Od chwili, kiedy operacja odmłodzenia i modelowania ciała i twarzy stały się ogólnie dostępne, wszystkie kobiety za bardzo małym wyjątkiem stały się piękne i młode. Uroda u kobiety stała się czemś tak pospolitem, że w krótkim czasie nastąpiła rewolucja kryterjów estetycznych. Upodobania mężczyzn uległy zmianie. Dziś jest taki stan rzeczy, że powodzenie ma tylko kobieta stara i brzydka. Za takiemi kobietami mężczyźni szaleją.

— No, a gwiazdy filmowe, aktorki? — zapytał p. Simpson.

— Niema wśród nich ani jednej, któraby nie była stara i bardzo brzydka. Mają tak wielkie powodzenie, że wolą raczej umrzeć ze starości, a żadna nie da się odmłodzić. I to właśnie jest w ogromnej cenie.

— Czy kobieta „modelowana" nie może poddać się zabiegowi i stać się z powrotem brzydką.

— Niestety, jest to niemożliwe.

W tej chwili rozległy się jakieś krzyki. Ukazał się jakiś tłum. Na przedzie szły dwie stare i brzydkie kobiety, a za niemi kilkunastu mężczyzn, którzy byli czemś rozentuzjazmowani i raz poraz wznosili radosne okrzyki na cześć maszerujących na przedzie kobiet. Kobiety miały na sobie długie suknie, sięgające prawie stóp. Po bokach sunęły dwa auta reklamowe, na których umieszczone były olbrzymie afisze z napisem: „Maison Worth" — „Dernieures creations 1999". Cała ta grupa otoczona była olbrzymim tłumem młodych i pięknych, nagich kobiet, które szalały. Tworzyły poprostu morze nienawiści.

Jakaś kobieta, w której z łatwością można było poznać Lolę Montez, usiłowała przedrzeć się przez łańcuch mężczyzn, broniących zaatakowane modelki i krzyczała w niebogłosy:

— Precz z hańbą! Zerwać z nich te szmaty.

W innym miejscu trzy nagie markizy Pompadour i jedna Lady Hamilton z pianą na ustach darły się:

— Ohyda! — Precz z temi bezwstydnicami! Zlinczować za niemoralność!

Jakaś naga Joanna d'Arc z płomieniem obłąkanego fanatyzmu w oczach biła się w piersi, wołając:

— Żyję sto dziesięć lat, urodziłam trzydziestu synów i dziewięć córek, miałam jedenastu mężów i czterdziestu kochanków i nie odważyłam się nigdy nawet w sypialni przy kochanku włożyć na siebie jakąś koszulę albo suknię, a te kobiety, które straciły wszelki wstyd, w biały dzień w oczach wszystkich ubierają się w suknie do kostek. Gdzie jest policja?

— Policja? — krzyczała inna. — Policji niema. Bo mężczyznom się to podoba. Bo są stare i brzydkie, a my biedne, jesteśmy piękne i nagie i dlatego pies z kulawą nogą na nas nie spojrzy. O my nieszczęśliwe! Lepsza śmierć, niż takie życie. — Wybuchnęła płaczem, a za jej przykładem poszło wiele innych.

Simpson, zbrodniarz, który odsiedział osiemdziesięcioletnie więzienie, stał i patrzał. Wzruszony, szepnął ze współczuciem:

— Biedne kobiety...

JAN PALMIRA

KANTORBERY TYMOWSKI, JAKO TŁUMACZ SCHILLERA

Wiek XVIII należy do najsmutniejszych epok w historji światowej, a szczególnie polskiej, bo pogwałcił, zburzył i zniszczył prawo narodów, ius gentium, a na jego ruinach stanął Verunft silnej pięści. „Wiek XVIII, pisał Konstanty Wojciechowski, to wiek okropnych zbrodni, popełnionych przez państwa i narody silniejsze nad słabemi, wiek rozbiorów nietylko zamierzonych, ale i dokonanych"[1]).

Do tych słabych państw i narodów, niestety, zaliczała się i Polska. Nie pomogły protesty narodu lub uwagi nad rządem[2]), albo różne przestrogi[3]), Polska chyliła się w przepaść i w imię „Przenajświętszej Trójcy" zniknęła z mapy Europy, pozostały po niej tylko: żal, tęsknota i rozpacz. Jeżeli runęło w proch prawo narodów, to jednak społeczeństwo polskie zaprotestowało przeciw gwałtom tyranów i na hasło:

„Polska szlachto! Polscy męże!
Na konie! bierzcie oręże!
Lubej Ojczyzny obronie
Poświęćcie życie i dłonie"[4]).

powstała epopeja legjonów, która za sprawę polską w imię wolności oddała życie na obczyźnie, dalej zrzuciła zapleśniałą korę rozumu oświecenia — Vernuft[5]), a poszła za uczuciem — Esprit, poznając żywe prawdy i:

„Znów jasność opromienia świat
Nieśmiertelne znów wschodzą nadzieje,
I zakwita ideału kwiat"[6]).

Cały wiek XVIII w Polsce przesiąkł prądem zachodniego racjonalizmu, który zapuścił głęboko swoje korzenie w kulturę polską. Stali się u nas panami: Rouseau, Voltaire, Diderot, oraz inni encyklopedyści francuscy. Poezja, dramat i krytyka naśladowane były przedewszystkiem z literatury francuskiej i zawładnął kierunek pseudoklasyczny całym niemal światem, któremu poświęcimy następny artykuł, obecnie interesuje nas Schiller i jego tłumacze w literaturze polskiej. Otóż nastąpiła reakcja przeciw pseudoklasycyzmowi. We Francji ważny krok naprzód w kierunku klarowania nowych teoryj literackich, stanowią pracę p. de Staël, a do nich należą: „De la litterature considérée dans ses rapports avec les institutions sociales" i „De l'Allemagne". Również reprezentował ten nowy kierunek literacki: Francois Réné de Chateaubriand. W Anglji wybitną rolę odegrali: William Shakespeare, który służył za wzór romantykom, jako dramaturg, dalej poeta John Milton, autor: Paradise Lost", krytyk John Dryden i Aleksander Pope, autor: „Pukla włosów", oraz cały szereg innych wybitnych poetów i krytyków, którzy przyczynili się do poparcia nowego kierunku w literaturze, na czele których stał oryginalny autor ballad i powieści historycznych, Walter-Scott. Nowy prąd niemiecki, który nas tutaj najwięcej będzie interesował, datuje się od Fryderyka Gottlieba Klopstoka, Krzysztofa, Marcina Wielanda, Gessnera, Lessinga, Herdera, wreszcie rozwinięty w całej pełni przez Goethego, a szczególnie Schillera i braci Schleglów, jako teoretyków. Z jednej strony, do zmiany „wieku oświecenia" w nową epokę romantyczną, przyczyniły się przedewszystkiem: rewolucja francuska i kampanja napoleońska, które pod względem politycznym, społecznym i kulturalnym pchnęły bryłę z posad świata na nowe tory, ażeby sobie przypomniała zielone lata, z drugiej przeciw wszelkim wywodom tegoż wieku, wystąpiło niejako dzieło epoki nowej: „Sturm und Drang", które zadecydowało o stanowisku przyszłej ery w literaturze europejskiej, a polskim poetom i krytykom zwróciło uwagę na nowy kierunek kulturalny, który wskazywał żywe prawdy, zamiast świata w proszku, do nich to zalicza się właśnie Tomasz Kontorbery Tymowski, tłumacz „Die Ideale" i „An die Freud" Schillera[7]).

Oprócz dramatów, tragedyj i ód o formie klasycznej, które były masowo tłumaczone na język polski w drugiej połowie wieku XVIII już to na cześć dostojnych królów lub gości zagranicznych, albo też dla repertuaru teatralnego, w tymże czasie zwrócono uwagę na rozwój polskiej elegji, oczywiście ściśle jeszcze zależnej od wpływów francuskich, jednak „na ostatnie lata wieku oświecenia, pisze prof. Szyjkowski, przypada czas pierwszej recepcji pieśni Osjana na gruncie polskim"[8]).

Jak Gesner, Joung i Osjan położyli swoje piętno w literaturze polskiej, tak napewno niemniejszy, a większy jeszcze wpływ wywarł Schiller na jej twórczość. I powstała walka starych z młodymi na tle czasopism i teatru o kierownictwo nad oświatą w Polsce.

Pierwsi stali przy formie Boileau'a i encyklopedystów „wieku oświecenia", drudzy zwrócili uwagę na pierwiastek ludowy w twórczości, bo czucie i wiara przekonywały ich silniej, niż absolutny rozsądek i obrali sobie za przewodnika autora „Zbójców". Starły się te dwa obozy pod nazwą „walki klasyków z romantykami". Pisarze należący do obozu klasyków, skupili się w Towarzystwo Przyjaciół Nauk, również do tegoż należeli i ich przeciwnicy; wprawdzie w formie jeszcze klasyczni, ale w duchu postępowi, byli to przeważnie poeci legjoniści, na których czele stanął Franciszek Wężyk, autor „poezji w ogólności"[9]). Nie trzeba zapominać, że pewne wiadomości o autorach niemieckich przedostawały się do nas znacznie wcześniej, lecz wyraźny wpływ tychże, stał się aktualny dopiero w drugim dzie-

---

[1]) Konst. Wojciechowski: „Wiek Oświecenia" str 7.

Do tych słabych państw i narodów, niestety, zali-

[2]) Jan Jakób Rouseau: „Uwagi nad rządem polskim", opr. Maciej Straszewski, Bibl. Narod. Nr. 32, serja 2.

[3]) St. Staszic: „Przestrogi dla Polski", opr. Stef Czarnowski, Biblj. Narod. Nr. 98, serja 1.

[4]) Kantorbery Tymowski: „Do pospolitego ruszenia", Gaz. Warsz. 1813. t. I. str. 71-2 z dnia 10/I, Nr. 5.

[5]) Hegel: „Vernuft und Verstand" wykłady berlińskie 1829/30

[6]) Konst. Wojciechowski: „Wiek Oświecenia".

[7]) Paweł Krzowski: Tomasz Kantorbery Tymowski w Towarzystwie Przyjaciół Nauk, dodatek literacki do „Głosu Prawdy" z dnia 26/VIII 1928 r.

[8]) Prof. M. Szyjkowski: Edward Joung „Myśli nocne" w poezji polskiej. Kraków 1916. str. 37.

[9]) Paweł Krzowski: Kantorbery Tymowski w Towarzystwie Przyjaciół Nauk. dodat. liter. do „Głosu Prawdy" z dnia 26/VIII 1928 r.

siątku lat, wieku XIX-go[10]). Nastała germanomanja, tłumaczono utwory autorów niemieckich z wielkim zapałem tak, że w przeciągu kilkunastu lat pierwszej połowy wieku XIX, znano w Polsce już dobrze literaturę niemiecką.

Do pierwszych poetów polskich, którzy tłumaczyli utwory Schillera za czasów Ks. Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, zaliczamy: Brodzińskich, Wężyka, Minasowicza, Kamińskiego, jak również Kantorberego Tymowskiego, oraz wielu innych, zajmujących się niemniej nowym prądem w literaturze polskiej.

W 1816 roku, autor „Dumań"[11]) poświęca pióro „Ideałom" Schillera, przerabiając na polskie „Marzenia" i myli się bardzo prof Szyjkowski, twierdząc, jakoby przekłady Wężyka i Kamińskiego były wierniej myśli oryginału oddane, niż autora „Ojczyzny"[12]. Tymowski był więcej utalentowanym poetą od Wężyka, a przedewszystkiem od Kamińskiego i nie można opierać swoich wywodów, jak to czyni prof. Szyjkowski na kilku wyjątkach, jakoby forma i treść były słabo odczute, które obniżają lot fantazji Schillerowskiej przez odmianki myśli.[13]) Nie są to słuszne, jak już wspomniałem wywody, bo oparte na pojedyńczych zdaniach, najlepiej może nam wytłumaczyć przykład pewnej zwrotki:

Schiller:

„So willst du treulos von mir scheiden
Mit deinen holden Phantasien,
Mit deinen Schmerzen, deinen Freuden,
Mit allen unerbittlich fliehn?
Kann nichts dich, Fliehende, verweilen,
O meines Lebens Goldne eilen
Hinab ins Meer der Ewigkeit".[14])

Tymowski:

„Już się rozstajesz ze mną,
Czy cię mego, czasie złoty!
Drużynę marzeń przyjemną
Lube rozkosze, pieszczoty
Rączemi porywasz póry!
Próżno twego pragnę zwrotu,
Piorun ci pożyczył lotu,
W wieczności zdążasz przestwory.[15])

Z powodu braku miejsca nie mogę tutaj przytoczyć kilku cytatów Wężyka lub Kamińskiego i zwrócić uwagę na wyższość talentu Tymowskiego od jego poprzedników. Zaznaczyć muszę, że Kamiński nietylko był słabym poetą i tłumaczem, ale nawet nie umiał określić Schillerowskiego terminu „Die Ideale" po polsku.

„To słowo, pisze Kamiński, nie daje się w żadnych językach żyjących odpowiednio swojemu znaczeniu przełożyć. Marzenia, urojenia, twierdzi dalej tenże, są tylko cienie znaczenia. Ideał jest raczej jasny, doskonały twór ognistej wyobraźni.

Apelles i Praxiteles przenosili na kamień albo płótno ideały swoje, w których rozsądek najpiękniejszą rzeczywistość spostrzegał".[16])

Jak widzimy, jest to zwykłe mędrkowanie, nie mające nic wspólnego z natchnieniem poetyckiem. Wprawdzie, zanim Tymowski zajął się gorliwie przekładem Schillera, był zwolennikiem poetów i pisarzów klasycznych: Horacego, Tibulla i Voltaire'a, nawet ignorował z lekceważeniem autorów niemieckich. Dopiero pod wpływem Kazimierza Brodzińskiego, zaczął bliżej interesować się literaturą niemiecką.

„Tymowski, pisał autor „Wiesława", był nieprzepartym wielbicielem Voltaire'a a mało znał pisarzow niemieckich i według zwyczaju starszych, nimi pogardzał. Lecz kilka moich przykładów dla niego zrobionych, tak go zajęły, że go odtąd równo z Horacjuszem czytywał, przekładał i przeciw napaściom naszych mniemanych klasyków żarliwie bronił"[17] Jak przedtem cenił autor „Dumań" Horacego, a szczególnie Voltaire'a, tak pod wpływem K. Brodzińskiego niemniej wyróżniał poetów niemieckich nad francuskimi. „Dotąd był Tymowski anakreontem, wesołym jak Horacjusz lirykiem, lecz Schillera poznawszy poważył się powierzać strunom wysokie i szlachetne uczucia".[18])

Klasykiem Tymowski nie był, jak zresztą wszyscy poeci legjoniści, bo „przekładał Schillera i przeciw napaściom naszych mniemanych klasyków bronił"[19]), ale o tem zagadnieniu obszerniej napiszemy w następnym artykule. Oprócz „Ideałów", Tymowski przetłumaczył w roku 1818, wiersz Schillera p. t. „An die Freud" — „Do radości", sławny ten hymn przełożył już w tym samym pamiętniku Minasowicz, lecz „nowe tłumaczenie ogłasza dla porównania w przekonaniu, że w ten sposób dla miłośników ojczystej poezji... uczyni niejaką przyjemność. Z porównania, jak twierdzi prof. Szyjkowski, wychodzi obronną ręką Tymowski. Jego praca, oparta również na pierwotnej redakcji Schillera, identyczna w formie z przekładem poprzednika, oddaje w treści daleko wierniej ducha oryginału". [20])

Zupełnie słusznie twierdzi prof. Szyjkowski, bo Tymowski był mistrzem w przekładach i umiał odczuć potrzebę formy językowej. Dla zorjentowania się, przytoczę tutaj kilka wyjątków, porównując oryginał z tłumaczeniem:

Schiller:

„Freude schöner Götterfunken,
Tochter aus Elysium,
Wir betreten feuertrunken,
Himmlische, dein Heiligthum.
Deine Zauber binden wieder,
Was die Mode streng getheilt,

---

[10]) Prof. Szyjkowski: Schiller w Polsce, Kraków 1916 r., str. 1.

[11]) K. Tymowski: Dumania Żołnierza polskiego w starożytnym zamku Maurów nad Tagiem" Pam. Warsz. t. I, str. 811-2, 1810 r.

[12]) K. Tymowski: „Ojczyzna" Sibill Nadw., t. I, str. 135-6, 1821 r.

[13]) Prof. Szyjkowski: Schiller w Polsce, str. 45.

[14]) Schillers: „Die Ideale", Sämmtliche werke, t. I, str. 228, Stuttgard 1838.

[15]) Prof. Szyjkowski: Schiller w Polsce, str. 48—9. 1816 r.

[16]) Schillers: „An die Freud", Ibid str. 87.

[17]) K. Tymowski: „Do radości", Pam. Warsz. 1818, t. 110, oprac. prof. Al. Łucki, Biblj. War. Nr. 113, serja I, str. 61-2.

[18]) Brodziński: Ibid. str. 61—2.

[19]) Ibid.

[20]) K. Tymowski: „Marzenia" Pam. Warsz. t. 5, str. 185-9, 1816 r.

Alle Menschen werden Brüder,
Wo dein saufter Flügd weilt [21])
Tymowski:
„O Radości! iskro bogów,
Córo z Elizeju cieni!
U świątyni twojej progów,
Twem stają światłem pojeni.
Niebianko! dłoń twoja splata,
Co przesądu moc rozdźwieje,
Wita żebrak w królu brata,
Gdzie twe skrzydło miłe wieje" [22])

Wiernie oddał Tymowski formę i odczuł potrzebę moralną autora „Zbójców", bo „Schillera poznawszy, poważył się powierzać strunom wysokie i szlachetne uczucia.[23])

Odtąd pisał Tymowski w duchu nowej epoki, a o Voltairze i Horacjuszu już nie wspomni, bo po zapoznaniu się z Goethem i Schillerem, „uważał francuskich poetów więcej za ludzi, z którymi się przez zwyczajne stosunki zaznajomił, aniżeli za kochanych swego serca przyjaciół" [24]) i był w całem tego słowa znaczeniu poetą.

Dr. Paweł Krzowski.

[21]) Prof. Szyjkowski: Schiller w Polsce, str. 45—6

[22]) K. Brodziński: „Wspomnienia nie młodej młodości".

[23]) Ibid.

[24]) Ibid.

SPROSTOWANIE

W artykule pt.: „Kantorbery Tymowski w Towarzystwie Przyjaciół Nauk" Nr. 260 dodatku liter. do „Głosu Prawdy" znalazły się następujące omyłki: zamiast Gochego winno być Goethego, zamiast Waltera winno być Voltaire'a.

NOWOŚCI FRANCUSKIE

Równolegle z już od lat wychodzącemi pod redakcją Daniela Halevy „Cahiers Verts" ukazało się niedawno również u Grasset'a nowe wydawnictwo „Les Ecrits" na którego czele stoi młody pisarz francuski Jan Guehenno. Na okładce tych książek widzimy napis następujący: „Ecrits... to ankieta w najszerszym tego słowa znaczeniu o życiu myśli współczesnej, do której wejdą szkice, powieści, studja... Ecrits wyrażają przedewszystkiem troskę o człowieka i o ludzi".

Wśród całkiem nieraz rozbieżnych tendencyj politycznych autorów wydających tam swoje dzieła, łączy ich wszystkich jedno: gorąca troska o życie społeczne, chęć wytworzenia takiej platformy myślowej, któraby umożliwiła współudział w życiu kulturalnem jaknajszerszym warstwom ludzkości.

Tę nutę czujemy najsilniej w książkach Guehenno, Garric'a i Gilloux.

***

Guehenno *) autor życia Micheleta, wydaje w październiku książkę pod tytułem „Caliban Parle".

*) Patrz Nr. 235 tyg. „Głos Prawdy" „Kultura i Demokracja". M. Czapska.

Myśl zasadnicza Guehenno jest następująca: jeżeli kultura nie potrafi rozszerzyć fundamentów na których stoi, jeżeli nie potrafi wzbudzić do siebie zaufania mas, będzie zniszczona, jak zniszczoną została w Rosji Sowieckiej.

Guehenno jest Kassandrą nawołującą elitę umysłową do opamiętania, do uświadomienia sobie odpowiedzialności za losy świata, ostrzega ją by nie gubiła się w labiryntach subtelnych drobnostek, kiedy zasadnicze problemy współżycia nie są wyjaśnione, kiedy kulturze grozi zagłada.

Guehenno, sam z ludu, czuje się wysłańcem tego ludu i rozłam taktyczny między oświeconą burżuazją i robotnikiem jest jego *osobistą tragedją*, czuje na sobie nawet ich nieufne wejrzenie i bada każdy swój krok czy aby i on jak tylu innych, sam tego niezauważając nie zdradza pnia z którego wyrósł

***

Garric **) od czasu wojny żyje i pracuje wśród robotników jest założycielem drużyn socjalnych liczących już teraz 6.000 członków.

Jego gorąca do ludu sympatja jest również oparta na bliskim z nim współżyciu i bezpośredniej obserwacji.

***

Na szczytach partyjnych wre walka socjalistów, komunistów, katolików, wśród szeregowców widzimy jednakowy materjał ludzki, jednakową ofiarność i gotowość do czynu, pod różnemi etykietami partyjnemi.

„Czyżby nie można się porozumieć i stworzyć wspólny front" powiedział robotnik — komunista Garric'owi pracującemu jawnie pod sztandarem katolicyzmu.

***

Głębokie wyczucie psychiki takiego *szeregowca* i troska o jego los cechuje Guehenno, Garric'a a także Gilloux którego książka „La Maison du Peuple" ukazała się również w „Ecrits".

Książka ta ma wszelkie cechy autobiograficzne. Są to wspomnienia z lat dziecinnych, życie w drobnem miasteczku nadmorskiem przesuwa się przed oczami chłopca — syna szewca.

Ojciec malca pracuje ciężko na chleb, jest jednym z pierwszych w miasteczku do którego dociera propaganda socjalistyczna.

Wstępuje do partji, traci dzięki temu robotę, ukarany przez „dobrze myślących" klijentów. Nie opuszcza partji, dalej się narażając, pomimo że nędza i głód grozi za to jego rodzinie. Przyjmuje on socjalizm jak nową religję, wierzy, że socjalizm właśnie przyniesie masom lepsze jutro, ta wiara daje mu siły i głęboką treść jego życiu.

Autor opowiada nam również o matce chłopca, bezgranicznie oddanej mężowi i dzieciom, o ukochanej babce, która jak anioł opiekuńczy przychodzi zawsze kiedy w domu jest bieda czy choroba. Te trzy postacie ojca,

**) Patrz Nr. 256 tyg. „Gł. Pr." „Jeszcze o psychice powojennej w lit. francuskiej". M. Czapska.

matki i babki, które najżywiej zachowała pamięć dziecka, mają jedną cechę wspólną — małomówność.

Mówią tyle tylko ile potrzeba, żeby się porozumieć co do realnych spraw życia zresztą w milczeniu pracują i w milczeniu dokonują największych ofiar, nie zdając sobie zupełnie sprawy z wagi moralnej swych uczynków. Nie słowo, a czyn codzienny dają wyraz ich prostym i czystym duszom. Autor sam jakby się boi zakłócić próżnym słowem ciszę, która otacza jego bohaterów, operuje wyłącznie faktami nic nie podkreślając wykrzyknikiem ani literackim frazesem.

Opisane są losy garstki socjalistów ich rozwój, pierwsza porażka i nowa energja, z którą się dalej organizują. To czasy kiedy Jaures jest u szczytu popularności, czasy wielkich marzeń o międzynarodowej solidarności proletarjatu.

Garstka wiernych czyta z zapartym tchem płomienne mowy trybuna, robotnicy miasteczka postanawiają własnemi siłami zbudować sobie dom ludowy.

Godziny wolne w niedzielę poświęcają tej pracy wszyscy należący do partji, nawet mały syn szewca bierze udział w budowie.

Panuje radosny nastrój i jasne nadzieje ogarniają serca wszystkich.

— Ostatni rozdział ponurym zgrzytem kończy książkę.

Mobilizacja — zamordowanie Jaures'a — wojna.

Na ulicach pełnych wojska i furgonów, tłum krzyczy: Vive la France i a Berlin.

Ojciec chłopca, wszyscy jego towarzysze idą na front. W gorączce wyjazdu nawet nie mają czasu się pożegnać. Opuszczają miasto, morze białe w świetle porannym, rozpoczętą budowę domu ludowego i różowe nadzieje szczęśliwej przyszłości.

***

Autor dedykuje książkę rodzicom i wszystkim towarzyszom z sekcji socjalistycznej, poległym na froncie.

Żadnych wniosków nie podając, nawet własne wzruszenie stara się on ukryć w spokojnym, epicznym stylu powieści.

Ale poprzez przezroczyste słowa pada na nas światło serdeczne i prawda tej książki budzi sumienie i wiarę w człowieka.

I. Czapski.

BIBLJOTEKARSTWO SZWEDZKIE Z LOTU PTAKA

(Na podstawie referatu E. Sundstrom'a z Królewskiej Bibljoteki w Sztokholmie).

Najważniejszemi bibljotekami w Szwecji są wielkie bibljoteki naukowe, mianowicie: Bibljoteka Królewska w Sztokholmie oraz bibljoteki uniwersyteckie w Upsali i Lundzie.

Bibljoteka Królewska, która jako szwedzka bibljoteka narodowa gromadzi i konserwuje literaturę szwedzką w najszerszem tego słowa znaczeniu, powstała z prywatnych zbiorów pierwszych królów z dynastji Wazów. W czasie panowania królowej Krystyny bibljoteka ta wzbogaciła się zarówno dzięki zdobyczom wojennym dokonanym w Austrji i Niemczech (łupem padły wówczas zwłaszcza bibljoteki w Otomańcu, Nikolsburgu oraz w Pradze) jak i dzięki prywatnym zakupom królowej. Okres rozkwitu bibljoteki nie trwał jednak długo, gdyż królowa po abdykacji wywiozła większość zbiorów zagranicę; część ich znalazła później przytułek w Rzymie, w Bibljotece Watykańskiej (Bibliotheca Reginae). W latach następnych bibljoteka sztokholmska wzrosła znowu dzięki zdobyczom wojennym w Danji i Polsce. Widać fatum jakieś ciążyło na bibljotece, bo oto w czasie pożaru w 1697 r. większość zbiorów padła pastwą płomieni, tak, że zdołano uratować zaledwie około 6.000 książek i 300 rękopisów. Szczupły ten zawiązek pomnożyły wydatnie w ciągu ośmnastego stulecia i później, bardzo liczne darowizny. Prawo egzemplarza obowiązkowego wszystkich szwedzkich druków przysługuje bibljotece od 1661 r., i stanowi najważniejszy czynnik jej rozrostu. Zbiory bibljoteczne wynoszą obecnie około 500.000 książek, 1,500.000 broszur oraz ponad 150.000 portretów, sztychów, map i t. d. Liczba rękopisów przekracza 12.000 pozycyj, inkunabułów zaś posiada bibljoteka około 1,230. Na pomnażanie i konserwację zbiorów wyznaczona jest rocznie suma 90.000 koron szwedzkich.

Bibljotekę uniwersytecką w Upsali ufundował w 1620 r. Gustaw II Adolf, darowując uniwersytetowi zbiór składający się z 4.000 tomów. Również i ta bibljoteka wzbogaciła się później łupami wojennemi, oraz licznemi darowiznami, zwłaszcza zaś cenną kolekcją bibljofila szwedzkiego M. G. de la Gardie'a. Prawo egzemplarza obowiązkowego przysługuje bibljotece od 1707 r. Zbiory bibljoteki upsalskiej liczą około 700.000 tomów druków, ponad 80,000 portretów, sztychów it.d., oraz około 17.000 rękopisów. Budżet roczny na zakup i oprawę książek wynosi około 100.000 koron szwedzkich.

Bibljoteka uniwersytecka w Lundzie powstała równocześnie z założeniem uniwersytetu t. j. w 1666 r., prawo do egzemplarza obowiązkowego przyznano jej w 1698 r. Bibljoteka ta zawiera obecnie około 350.000 tomów oraz wielką ilość broszur i 7,000 rękopisów, rozporządzając budżetem rocznym w kwocie 70.000 kor. szw. Do wielkich bibljotek naukowych można zaliczyć również bibljotekę miejską w Göteborgu, liczącą około 240,000 tomów oraz 80,000 broszur.

Prócz wspomnianych powyżej czterech bibljotek naukowych, istnieje cały szereg bibljotek naukowych specjalnych, związanych z instytucjami naukowemi lub wyższemi zakładami naukowemi. Z pośród bibljotek instytucyj naukowych na szczególną uwagę zasługują: Bibljoteka im. Nobla Szwedzkiej Akademji Literatury (około 55,000 tomów), oraz bibljoteki: Królewskiej Akademji Muzycznej, Akademji Starożytności (35,000 tomów), Akademji Sztuk Pięknych, Muzeum Narodowego i Szkoły Sztuk Pięknych. Największe i najwartościowsze zbiory z zakresu nauk przyrodniczych zawiera bibljoteka Królewskiej Akademji Umiejętności, posiadająca około 130,000 tomów dzieł, 200,000 broszur, oraz 2,700 rękopisów. Bibljoteki szkół wyższych i gimnazjów, zajmują miejsce pośrednie między bibljotekami naukowemi a publicznemi. W dawnych czasach bibljoteki zakładano przedewszystkiem

w miastach katedralnych, łącząc je z bibljotekami katedralnemi. W czasach późniejszych, skoro szkolnictwo wyswobodziło się z pod supremacji kościoła, bibljoteki te zazwyczaj przydzielano szkołom. Do największych tego typu należy bibljoteka w Linköping, do dziś należąca do katedry. Zbiory jej wynoszą 130,000 tomów, 12,000 dysertacyj, 2,100 rękopisów oraz 133 inkunabułów.

W celu zapewnienia racjonalnego wyzyskania bibljotek szkół wyższych i gimnazjów, szczycących się zazwyczaj staremi i wartościowemi zasobami, oraz w celu planowego zaopatrywania tych bibljotek literaturą nową, przekształcono je ostatnio z inicjatywy Dr. I. Collijn'a dyrektora bibljoteki królewskiej, na bibljoteki okręgowe, nadając im charakter bibljotek centralnych w odniesieniu do wszystkich księgozbiorów publicznych, znajdujących się w okręgu ich działalności.

Bibljoteki publiczne, typu angielskiego i amerykańskiego, istnieją w Szwecji od dawna, lecz dopiero w początkach bieżącego wieku państwo zaczęło subsydjować ich działalność, umożliwiając przez to ich wzrost i rozpowszechnienie. Obecnie niemal w każdym miasteczku istnieje bibljoteka tego typu. Każdej z nich przysługuje zasiłek państwowy w wysokości 400 kor. szwedzkich rocznie, który wypłacany jest zazwyczaj w postaci oprawnych książek. Ostatnio państwo subwencjonuje około 3.000 bibljotek, do której to liczby wliczone są również bibljoteki szkolne. Bibljoteki te w 1923 r. zawierały łącznie ponad 2,500,000 tomów. Zasiłki komunalne wypłacone bibljotekom publicznym w tymże roku wyniosły 1,604,000 koron. O żywotności i ruchliwości tych bibljotek świadczy liczba 6,300,000 tomów wypożyczonych ogółem w 1923 r. Najważniejszą z tych bibljotek jest bibljoteka miejska w Norrköping, licząca 100,000 tomów. Na wzmiankę zasługują bibljoteki publiczne w Malmö (50,000 tomów) i w Göteborg'u (43,000 tomów). Sztokholm posiada szereg bibljotek publicznych, zawierających łącznie ponad 200,000 tomów.

S.

NA MARGINESIE

Zarząd Z. Z. Literatów Polskich w Wilnie występuje niniejszem z propozycją zwołania powszechnego Zjazdu Literatów Polskich do Wilna w roku bieżącym. Jako termin Zjazdu proponujemy 1—4 listopada r. b. — ze względu na skupienie dni świątecznych i tem samem umożliwienie urlopów. Na rok przyszły jest podobno przewidziany Zjazd w Poznaniu, nie chcielibyśmy przeto terminu Zjazdu wileńskiego odkładać; w razie trudności organizacyjnych termin mógłby zostać przesunięty na grudzień r. b.

Po otrzymaniu zasadniczej zgody Szanownych Kolegów przystąpilibyśmy niezwłocznie do prac przygotowawczych: do powołania Komitetu lokalnego, do rozesłania zaproszeń do wszystkich członków związków literackich w Polsce, do wysłania delegata do Warszawy dla omówienia szczegółów itd.

W ogólnych zarysach plan Zjazdu przedstawia się nam następująco:

Dzień 1: powitanie, ukonstytuowanie się Zjazdu, obrady, zwiedzanie Wilna, przedstawienie w teatrze.

Dzień 2: dalszy ciąg obrad, zwiedzanie miasta, bankiet, wydany przez miasto.

Dzień 3: Zakończenie obrad, zwiedzanie okolic miasta (Werki, Troki), raut u Wojewody.

Dzień 4: Wycieczka do Nowogródka i nad Świteź, przyjęcie u Wojewody Nowogródzkiego.

Ze Zjazdem związane być mogą takie imprezy, jak wspólna Akademja Literacka, prelekcje i recytacje radjowe, udział w Środzie Literackiej naszego Związku itp.

Zapewnione mamy wszechstronne poparcie władz miejscowych z Panem Wojewodą Raczkiewiczem i Magistratem m. Wilna na czele, co znakomicie ułatwi organizację Zjazdu. Uczestnicy będą rozmieszczeni w prywatnych kwaterach, a i pod każdym innym względem dbać będziemy o to, aby koszta pobytu były minimalne. Przy uzyskaniu zwykłych zniżek kolejowych, (a może nawet bezpłatnych przejazdów) przyjazd do Wilna umożliwiony będzie nawet najmniej zamożnym członkom.

Proponujemy narazie powołanie w przyśpieszonem tempie Komitetu organizacyjnego (międzyzwiązkowego) przedewszystkiem w Warszawie, potem komitetów lokalnych we wszystkich centrach; wówczas nawiążemy bezpośredni kontakt z poszczególnemi komitetami lub delegatami.

Celem Zjazdu miałoby być wyczerpujące przedyskutowanie wszystkich aktualnych spraw literackich i zawodowych, przegłosowanie uchwał i rezolucyj. Jednocześnie złączony byłby Zjazd z poznaniem zabytków ojczystego kraju Mickiewicza i innych poetów. W programie Zjazdu możnaby umieścić w Dzień Zaduszny (dzień „Dziadów") odwiedzenie grobów zasłużonych na cmentarzu Rossa.

Ze względu na ograniczony czas upraszamy usilnie Szanowne Zarządy wszystkich związków literackich w Polsce o bezzwłoczne wypowiedzenie się, w sprawie miejsca i terminu Zjazdu, zaś związki stołeczne o zwołanie wspólnego posiedzenia celem wyłonienia Komitetu Organizacyjnego, który będzie z nami współpracował. Wstępne te kroki winny być poczynione natychmiast, bez odwlekania do końca okresu wakacyjnego.

Skład naszego Zarządu jest następujący: prezes Rektor Stanisław Pigoń, wiceprezes Helena Romer-Ochenkowska, Kazimierz Leczycki, dr. Tadeusz Szeligowski i Witold Hulewicz.

Oczekując możliwie rychłej odpowiedzi, przesyłam wyrazy głębokiego poważania i szacunku

W imieniu Zarządu Związku Zawodowego Literatów Polskich w Wilnie
(—) W. Hulewicz

Oto tekst pisma rozesłanego przez Wil. Zw. Zaw. Literatów Polskich do wszystkich oddziałów Zw. Zawodowego, oraz stowarzyszeń literackich ze Strażą Piśmiennictwa Polskiego na czele. Byłoby rzeczą ze wszechmiar pożądaną, by nasze stowarzyszenia literackie Zjazd wileński należycie obesłały. Życie literackie toczy się u nas aż nazbyt nieuregulowanem łożyskiem. Zjazd wileński mógłby posłużyć jako najwdzięczniejsze pole zbliżenia się i współdziałania. Może w Wilnie właśnie udałoby się dojść do porozumienia w wielu ważnych sprawach życia literackiego tak organizacyjnych, jak zawodowych, które dziś ze względu na animozję zwaśnionych stron i obozów leżą odłogiem.

* * *

Przysłowiowa obrotność naszych księgarzy okazała się jeszcze raz w całej pełni po otrzymaniu przez K. Wierzyńskiego pierwszej nagrody poetyckiej na Olimpjadzie w Amsterdamie. Publiczność polska jęła nagle żądać wszędzie „Lauru Olimpijskiego". Okazało się, że Laur nie jest wyczerpany, że znajduje się w sprzedaży i „zaraz" nadejdzie. Otóż, jak dowiadujemy, się, nadchodził tak ów „Laur Olimpijski" przez księgarnie prowincjonalne telegraficznie zamawiany w czasie od 10 dni do dwóch tygodni.

Z Warszawy do Zakopanego wędrował okrągłych dni dziesięć. Jakże długo szedł w takim razie do Worochty, czy Jaremcza, czy Druskienik?

Jeżeli tak szybko idzie książka na polskim rynku „ogrzana" wszechświatową reklamą sportowo-amsterdamską, to jakże długo wędruje książka zwykła ze stolicy, czy jednego z miast stołecznych na prowincję?

* * *

Gdy mowa o ruchu książek, trudno nie podkreślić zupełnej apatji naszych księgarzy w czasie t. zwanej kanikuły letniej. Jak wiadomo nic w tym okresie nie wydaje się. Nie mniej przeto w tym właśnie okresie ludzie z całej Polski zjeżdżają do kilku czy kilkunastu uzdrowisk i miejsc kuracyjnych w górach i nad morzem.

Ludzie, którzy tu zjechali to albo kuracjusze, odpoczywający po leczeniu lub znajdujący się w okresie leczenia, albo poprostu publiczność, która po pracy zawodowej w mieście, odpoczywa. Teraz dopiero ma czas, teraz mogłaby i niejednokrotnie chciałaby „to i owo" przeczytać, uzupełnić teraz te braki, które powstały w lekturze z powodu całorocznej pracy w mieście.

Owo uzupełnianie braków, lektura w czasie odpoczynku znana jest i praktykowana i bardzo sumiennie przez księgarstwo francuskie uwzględniana na wszystkich wodach oraz w miejscach wilegjatury.

U nas? Warto przejrzeć katalogi wypożyczalń książek w Krynicy, w Zakopanem, na Helu, czy w Jaremczu, by przekonać się, jak księgarstwo nasze dba o czytelnika i odbiorcę w czasie lata. Uzdrowiska nasze posiadają wypożyczalnie wyposażone bardzo ubogo w książki — naogół, — z przed lat dziesięciu i to najczęściej w jednym tylko egzemplarzu. Żadnej inicjatywy, wystawy niedbałe i brzydkie, żadnej próby rozbudzenia ożywienia w czytelnictwie.

Niema w tem żadnej winy ze strony literatów, a nawet wręcz przeciwnie. Naszym górom i morzu naszemu okazali oni tyle serca, wystawili tak piękne pomniki „w wieści i powieści". Przedsiębiorczość księgarska nie pomyślała jednak, by stosowne dzieła odpowiednio wydać i ozdobić, podać je czytelnikowi w lecie tam właśnie, gdzie przebywa, w miejscu, o którem tak pięknie pisze dany autor polski! *jkb.*

Z NIWY POLONIKÓW

Czeska monografja o prasie polskiej

Niezbyt obszerna literatura rodzima z natury rzeczy, poświęcona dziejom i obecnemu rozwojowi prasy polskiej, uzyskała niespodzianie sukurs w postaci pracy redaktora V. Dreslera p. t. „Sedma velmoc v Polsku", wydanej nakładem Orbis'u w Pradze Czeskiej w serji zbiorowej „Knihovna Zahranični Politiky", gdzie ukazała się jako tom szósty z rzędu.

Aczkolwiek poświęcona głównie zobrazowaniu stanu obecnego prasy polskiej, przeważnie codziennej, praca powyższa nie ignoruje umiejętnego doboru zasadniczych w tej dziedzinie faktów historycznych, we wstępie, które podkreślają i ciągłość tradycji dziejowej w rozwoju polskiego „siódmego mocarstwa", począwszy od XVIII-go wieku, i związki wyraźne publicystyki z literaturą, piórem jednem szermujących częstokroć w rękach pisarzy takich, jak A. Asnyk, H. Sienkiewicz, B. Prus, S. Maciejowski, S. Przybyszewski i wielu innych. Ten sojusz literatury z publicystyką, charakterystyczny dla czołowych organów prasowych w Polsce, i w dobie najnowszej pilnie jest śledzony przez autora omawianej monografji, gdy naprzykład zaszczyca „Głos Prawdy" kilkuwierszową wzmianką, uwydatniającą nasz dorobek literacki.

W osobie V. Dreslera, dawnego i wnikliwego obserwatora życia polskiego z lat przedwojennych jeszcze, łączy się publicysta z uczonym, studjującym skrupulatnie swoich poprzedników. Autor zna dobrze ukryte czasami w różnych czasopismach artykuły o prasie polskiej, a współczesny charakter i rozwój jej ocenia przez pryzmat ciągłej i wytrwałej pracy własnej zawodowej, w zakresie nieprzerwanego od szeregu lat informowania czytelników czeskich o naszych sprawach. Uzbrojony w statystykę, orjentujący się, jak na cudzoziemca wyjątkowo dokładnie w odcieniach politycznych szachownicy prasowej polskiej, dał V. Dresler monografję zwartą, podyktowaną nietylko szczerą sympatją dla całego dorobku naszego w tej dziedzinie, ale ożywioną również ambicją publicysty doświadczonego podjęcia się roli przewodnika obcych w labiryncie czasopiśmiennictwa naszego; przyswojona po polsku byłaby książka „Siódme mocarstwo w Polsce" użyteczną jako kompendjum wiadomości najważniejszych i bezstronnych o prasie polskiej, dla nas samych.

Międzynarodowy Biuletyn Naukowy

Ustalonym odniedawna łożyskiem płynie w świat szeroki wieść o literaturze polskiej dzięki warszawskiej „Pologne Littérraire". Również wielojęzycznym wydawnictwem, informującym o pracach oryginalnych uczonych polskich, jest krakowski „Bulletin International de l'Académie Polonaise des Sciences et des Lettres". Są oczywiście głębsze zasadnicze różnice pomiędzy propagandowym miesięcznikiem a kwartalnikiem akademickim. Ale ponieważ od czasu do czasu podnoszona jest u nas sprawa informacyjnego czasopisma naukowo bibljograficznego dla zagranicy, nie może być pominięty fakt ukazywania się pod egidą najwyższej polskiej instytucji naukowej kwartalnika znakomicie pełniącego rolę informacyjno-propagandową w stosunku do prac czytanych i omawianych na posiedzeniach Akademji, streszczenia których ogłasza „Bulletin International de l'Académie Polonaise".

W dwóch ostatnich zeszytach wydziału filologji, historji i filozofji, objętości 176 stron streszczono 30 prac. Opracowanie tych streszczeń dosięga czasami rozmiaru pracy oryginalnej, np. prof. K. Michalskiego „La physique nouvelle et les différents courants philosophiques an XIV-e siècle" na 70-ciu stronach, tematy zaś takie, jak „Część muzyczna Bogurodzicy" (Z. Jachimecki), „Ikonografja św. Stanisława" (J. Pagaczewski), „Hegel

a Kremer" (D. Vogelówna), „Pestalocyzm i lankastryzm w polskiem szkolnictwie ludowem" (W. Bobkowska), „J. Kochanowski w Królewcu" (prof. S. Kot) i inne, wykraczają poza obręb drobiazgowych przyczynków i szerzą dobre wiadomości, objektywne, sumienne, o międzynarodowych zależnościach kultury polskiej i obcej w dziedzinie sztuki, humanistyki, jak najszerzej pojętej.

Biuletyn Akademji Umiejętności pro foro externo, rozszerzony działem streszczeń najwybitniejszych monografij naukowych polskich za ubiegłe miesiące, mógłby spełniać chlubnie funkcję łącznika światowego w zakresie propagandy nauki polskiej zagranicą.

T. Gleyden

ODPOWIEDZI GŁOSU PRAWDY LITERACKIEGO

Włodz. Zel. Katowice: Wiersz drukowaliśmy w Dodatku Nr. 255. Nowela pisana jest płynnie, niestety jednak nie jest nowelą. Zarysował Pan ów charakter psa lekko i zręcznie, niestety „potem" przyjeżdżają letnicy i okazuje się, że charakter psa ukazany był po to, by nam powiedzieć, że pies kradł jajka. Za mało tego, jak na opowiadanie, nowelę, opis. Za mało. Trzeba mieć poczucie odpowiedzialności drukowanego słowa.

Bohdan Nal.: Nie zajmować się temi wzniosłemi alegorjami a brać się do porządnej roboty poetyckiej. Nauczyć się pracować, — twórczość przyjdzie wówczas sama.

St. Swiercz. Baranowicze: Czy nie zauważył Pan, że nieświadomie może nawet pomniejsza Pan wszystko: Więc nie izba, lecz izdebka, nie chata, lecz chatka, nie podwórze, lecz podwórko i t. d. — ze wszystkiem. W pomniejszeniu owem mieści się zbyt wielka, zbyt podmiotowa tkliwość dla wszystkiego co Pana otacza a nawet dla samego siebie. Liryzm może działać na czytelnika tylko wtedy, gdy jest przez autora przezwyciężony, opanowany. Inaczej. — niecierpliwi. Przedewszystkiem więc — opanować się i popatrzeć na siebie i na otoczenie wzrokiem człowieka, który chce tworzyć, nie zaś spojrzeniem płaksy.

Janusz Mal. W-wa: O ile wiemy dramat St. Szpotańskiego otrzymał drugą nagrodę. Radzimy zgłosić się do ciała, które rozpisało konkurs. Muszą przecież odpowiedzieć Panu!

Michał P.: Widocznie przesyłka zaginęła? Prosimy wysłać jeszcze raz poleconym listem.

Omega: „Historja Prawdziwa" nie posiada, niestety, poważniejszej wartości. Bluźnienie przeciw starym księgom nie jest niczem innem, jak aktem niemocy wobec tych ksiąg. Kto je zna, nie boi się ich, nieprzeszkadzają mu żyć, umie je przezwyciężyć i czerpać z nich nieocenione korzyści. Inżynier opisany w Tjtannopolisie był widocznie, jakto bywa u ludzi pozbawionych humanistycznej kultury, — umysłowym maruderem. „Grecka Wiosna" nie ma żadnej wartości pisarskiej.

M. S. Gorz. Pomorze: Wiersz pański pełen jest patosu. Któremu bynajmniej nie hołdujemy. Pisze Pan naprzykład „Szli jak lawina", tymczasem 1) Było to tylko kilkanaście tysięcy ludzi. 2) Ludzie nigdy nie chodzą jak lawina. Utarło się takie lawinowe powiedzenie, uważamy jednak, pouczeni właśnie doświadczeniem wojennem, że powiedzenie to sensu nie ma, zwłaszcza w wojnie współczesnej. Innemi słowy — wiersz w założeniu szwankuje, dlatego, że osnuty został na momentach, czy motywach **zewnętrznych**, podczas gdy wielkość opisywanego przez Pana momentu wymarszu Strzelców walor poetycki ma właśnie w napięciu **moralnem.**

A—305,27 S: Pragnie Pan, byśmy mu odpowiedzieli szczegółowo. A więc dobrze: Opisuje Pan w zachwycie oblicze swej ukochanej. Mocny Boże — któż tego nie robi? Więc nie dziwimy się zachwytowi Pana. Natomiast nie godzimy się na formę tego zachwytu. Oblicze ukochanej pańskiej jest następujące (wedle pańskiego opisu): W oczach odbite chryzantemy, prócz tego zaś oczy te są smutkiem spowite — jakby szalem. Usta — korale różowe, roniące cierpienie i ból. A więc czerwone korale, z których tak, czy inaczej — coś się leje. Lica (to znaczy policzki) przyrówane są w tej samej zwrotce do lilji i azalji. Po takim opisie, przypominającym sklep jubilersko-galanteryjny następuje rymowany nieudolnie szał tęsknoty. Że też ktoś obcy nie przeczytał Panu pańskiego wiersza, nie podając autora?! Wyśmiałby Pan taką poezję. A zatem precz z miłością własną i — lepiej kopać tunel pod Warszawą. Oczywiście!!!

Józef K. Monasterzyska: Rękopisów nie zwracamy. Co to znaczy utwór bez „więzów i treści"?! Czy rzeczywiście przypuszcza Pan, że taki utwór może mieć jakąś wartość? Ależ szanowny Panie — lepiej zapisać biednej kucharce, która nie włada sztuką układania liter i cyfr, jej biedny rachunek z miasta, niż pisać utwory „bez więzów i treści". Rachunek biednej kucharki — włoszczyzna, masło, cukier, jajka, za mięso dałam dwa złote, truskawki, marchewka i t. d. — rachunek taki jest przepięknym poematem codzienności — wobec każdego pretensjonalnego utworu „bez więzów i treści".

Wacław K. Częstochowa: Ludzie sobie wyobrażają, że gdy napiszą jakieś jedno, drugie „Hej—tam" i „na bój, na znój" — „miljony—legjony", to już stworzyli kawałek poetycki o legjonach. Utworów takich otrzymujemy obecnie, w czasie rocznicy bitwy pod Kołodziejami i rocznicy wymarszu Strzelców, bardzo wiele. Cieszy nas to, ze względu na coraz większą w Narodzie, a jakże zasłużoną popularność Czynu 6/VIII 1914 roku. Nie możemy jednak dla względów wielkiej sympatji, czy nawet adoracji politycznej poświęcić względów poetyckich. Radzimy każdemu kto pragnie uwiecznić wspaniały czyn J. Piłsudskiego w prozie a zwłaszcza w poezji przestudjować — przed zabraniem się do dzieła — „Redutę Ordona" Mickiewicza. A przeczytajcież Panowie jeszcze raz tę Redutę; przekonacie się, że prawdziwie narodowa bohaterska poezja, to wielka najczystsza poezja, którą tworzy się natchnieniem i sercem, nie zaś atramentem i poczciwą wolą.

Narcyz Kot: Zacny Panie Narcyzie, po co pisze Pan wiersze? Jakże można układać tak bardzo pospolite rymy i doklepiać do nich tak niewiele, tak nic nieznaczący sens. Wiersze pańskie nie posiadają żadnej treści, ani uczuciowej, ani obrazowej, ani nawet rytmicznej. Jest to coś absolutnie banalnego. Po cóż Pan to pisze? Tak, tak — musimy Panu powiedzieć prawdę.

M. Buczk. Podkamień: Niestety, niewyraźny podpis. List z pewnemi skrótami wydrukujemy. Dziękujemy za zaufanie. W idealiźmie tym jest wiele słusznej racji. Ukaże się list ten już niebawem. Jeszcze trochę cierpliwości.

REDAKTOR I WYDAWCA: *WOJCIECH STPICZYŃSKI*

Drukarnia „Literacka", N.-Świat 22. Przesyłka poczt. opłacona ryczałtem.